

# WIECZORY BREZDEŃSKIE

• J. I. KRASZEWSKIEGO.

*Tu lascerai ogni cosa diletta  
Ben ciamant, e questo e quello strale  
Che l' arco dello esilio pria saetta  
Tu procerai sì come sa di tal  
Lo pane altrui, e com'è duro calle.  
Lo scendere e il salir per l' altrui scale.  
Dante. Paradiso. XVII.*

---

LWÓW,

NAKLADEM KUTGARNI ZILMANA IGŁA  
Ulica Syntowska

1866

# ZELMAN IGEL

księgarz i antykwaryusz we Lwowie

przy ulicy Syxtuskiej pod L. 131<sup>2</sup>/<sub>4</sub>.

Poleca swój dobrze zaopatrzony skład książek najnowszych w języku polskim, francuzkim, niemieckim i angielskim, równie znaczny zbiór dzieł do historii polskiej odnoszących się, jako to: herbarze, statuta, kroniki i stare monety i t. p.

Kupuje wszystkie starożytności polskie, całkowite zbiory biblioteczne i sprzedaje takowe po najumiarkowańszych cenach.

---

## SPIS

dział znajdujących się w tejże księgarni.

---

Alzog Jan. Historia powszechna kościoła. 3 tomy 8o. Petersburg 1856. Cena 9złr. w. a.

Anioł pański, powieść obyczajowa dla dorosłej młodzięży przez bakalarza z Lwagrodu. 8o Poznań 1864. 60 kr.

Baliński Michał. Opisanie statystyczne miasta Wilna 8o Wilno 1835. (cena sklepowa 1złr. 55kr.) 1 zł

Bartoszewicz Julian. Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku 3 tomy. Petersburg 1853 (cena sklepowa 9 złr.) 6 złr. w. a.

Chodźko Ignacy. Obrazy litewskie. Serya IIga zawiera: Brzegi Wilii i ranek przed ślubem. 3 tomy. 3 złr. Serya IIIcia zawiera: Pamiętniki kwestarza. 3 tomy. 3 złr. Serya IVta zawiera: Jubileusz. Duch opiekuńczy. Wilno 1845 (cena sklepowa 4 złr.) 2 złr 50 kr.

Chłoniowski Stanisław X. Dwa wieczory pani sta-

**WIECZORY DREZDEŃSKIE.**



# WIECZORY DREZDEŃSKIE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

*Tu lascerai ogni cosa diletta  
Più caramente, e questo e quello strale  
Che l' arco dello esilio pria saetta  
Tu proverai sì come sa di sale  
Lo pane altrui, e com'è duro calle  
Lo scendere e il salir per l' altrui scale.*

Dante. Paradiso. XVII.

---

L W Ó W,

NAKŁADEM KSIĘGARNI ZELMANA IGŁA  
Ulica Syxtuska

1866.

Krasz-580



---

Z DRUKARNI ZAKŁ. NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH  
Pod bezpośred. zarząd. uprzyw. dzierżawcy Alexandra Vogla.

## I.

„I rzucisz wszystko coś kochał najwięcej, i doświadczysz jak bez smaku jest chleb cudzy, jak ciężko wchodzić i schodzić po nie swoich wschodach — “...

Przeczuł Dante.. i doświadczył wszystkie wygnania boleści, ale on pocieszał się jeszcze, że rumieńcem wstydu okryć się miały czoła tych, którzy biednego wędrowca szyderstwem witali, urąganiem ścigali, upokorzeniem kamienowali — nam, niestety, brak i téj nadziei.. wstydzić się nikt nie myśli, pysznią wszyscy. Z każdym dniem na twarzach zubożniałych ludzi wybitniej maluje się to uczucie nielitości,

które nas ściga; potrzeba zamknąć się wśród ścian czterech z samym sobą, z myślą tylko i z tęsknotą, w pracy i spokoju ducha szukając ulgi na cierpienie.

O ciężkoż nam tu, ciężko w tych Drażdżanach nadłabiańskich (tak je każą nazywać Wendowie) prześladowanym przez klimat jakiś niegościnny, ludzi gorzej niż zimnych i uśmiechy naigrawające się tych, których opiece (styl urzędowy) rząd saski powierzył cudzoziemców. A choć tu z niedaleka od swojego kraju zawieje wiatr jaki i ten chłód przynosi, i ten tęsknotę mnoży i on zdaje się szydzić z rozbitków.

Prawdziwi wygnańcy i rozproszeńcy żyć musimy osamotnieni i między sobą dzieli nas różność przekonań, położeń, przesądów, tysiące obaw i ostrożności, a do cudzoziemców zbliżyć się niepodobna, ta-



kiem od nich zimnem wieje.. Boją się byśmy im nie wydychali powietrza, nie odjedli chleba, nie wypili wody, nie zażądali pracy, nie przypytali się do braterstwa.

Czasy ciężkie! Jeżeli przynosimy z sobą grosz, uśmiech nas wita, jeżeli go nam choćby na chwilę tylko zabraknie, Saxonia trwożliwa o swoje dzieci, wypycha próżne kieszenie do Zgorzelic, Hofu i Bodenbach.... na cztery wiatry, byle golizna zgorzenia nie dawała pocziwym poddanym króla J. Mości.

Nic też gospodarniejszego nad tę pocziwą, spokojną Saxonję, która jest tak *gemüthlich*! ach! ale tak *gemüthlich*!

Szyderstwo....

Ludzie żyją tu w jakimś stosunku nieokreślonym nie zawadzając sobie, to prawda, nie kłócąc się z sobą, ale obawiając

się nawet idei wzajemnej pomocy, a prze-  
rażając samém przypuszczeniem ofiary...

Trudno od nich wymagać aby byli lepszymi dla nas, niż są dla własnej braci; nauczyć się potrzeba tego żywota, którego najdoskonalszym wyrazem jest niemieckie zaproszenie na obiad... Po takim proszonym obiedzie, każdy za siebie płaci..

Tak jest i w innych życia stosunkach, grzecznie dosyć, *gemüthlich*, ostrożnie bardzo, ze ścisłym przytém rachunkiem. A że cudzoziemiec jest tu widocznie po to, ażeby płacił, korzysta się więc z niego o ile możliwości, często bezdusznie i z cierpkością bolesną. Tak jest może nie w Saxonji jednej — u nas tylko inaczej bywało — w Polsce cudzoziemiec znajdował cały kraj na usługi; nadskakiwania, ofiary, ułatwienia, pomoce; osiadał w niej, z bogacał się, a odchodząc oplwał w nagrodę.

Nieulega wątpliwości żeśmy w tym względzie lepszymi i nieopatrzniejszymi byli od innych, a doznaliśmy niewdzięczności: tak zwykle dzieje się w życiu.

Kiedy Ludwik XVIII., i emigracja szlachecka Francyi szukali przytułku w naszym kraju, odstępowano im pałace, dawano pierwsze miejsca u stołu, obdarzano hojnie, wprowadzano z zaufaniem do rodziny, a nie jeden Markiz istotnie się do niej, nadużywwszy go, przyczepił po cichu. Na te przyjęcia porujnowali się niektórzy, a z powrotem nad Sekwanę mili goście wyśmiewali się potem z naszego barbarzyństwa....

Tak samo jeszcze dziś przyjmujemy każdego Niemca, który raczy u nas szukać przytułku i dajemy ziemię, budujemy chaty, kłaniamy się cywilizatorom, a ci

poźniej zatknąwszy swą chorągiew na wykarczowaném polu wydiedziczają nas z własnego gniazda.

Może nas teraz smutne wędrówki nauczą, że drzwi zamykać potrzeba, a niekoniecznie tak cudzoziemców przygarniać. Patrzmy jak gdzieindziej pilno odpędzają wychodźców. Anglja ich odstręcza pod pozorem przeludnienia, Francja się krzywi po cichu wymawiając polityką, Włochy młode boją się skompromitować, Niemcy narazie lękają się o chléb powszedni.. Jedna Szwajcarya wierna zasadom choć wzdycha nad swém ubóstwem ale przyjmuje czując się do tego obowiązana.

Jeśli Bóg da kiedy gospodarzyć u siebie, należy o wszystkim cośmy spotykali na rozdrożach wygnania pamiętać.. nie żeby się mścić! — to uczucie nic potém;

ale żeby rozum mieć także.. Nie zapraszajmy cudzoziemców tak ochoczo, nie kłaniajmy się im u siebie tak nisko, nie ściszkajmy ich tak serdecznie; a zaszanujmy kieszenie...

Byliśmy w istocie tak bardzo pocziwi, że ta dobroduszość nasza zakrawała na głupotę. Mówią, że Polak mądry po szkodzie — niewierzę.. Nie, nie, nawet ciężka bieda serdeczności nas nie oduczy..

Smutno to w wieku prozy.. ale z pewną dumą wzdychamy nad tą naszą wadą. Mądry po szkodzie... ale ba!

A przecież w tych Drażdżanach można by wiele skorzystać, zacząwszy od przedsięwzięci policyjnych, w których rekolekcje najmniej raz w miesiąc odbywać skazani jesteśmy, aż do kościoła, w którym nas musztrują i cicho a przyzwicie znajdować

się wprawiają, aż do mostku na Łabie, przez który w ordynku iść potrzeba stronną prawą... aż do... ale któż awanije i przepisy nowego wychowania dawanego nam tu nie bezpłatnie) wyliczy.

Płacimy bo za tę naukę nietylko groszem, ale upokorzeniami, zgryzotą, uciskiem i niewysłowioném boleści uczuciem. Poskarżyć się nienia komu! Przed sobą nawet nie powiemy tego, bo się i z sobą niewidujemy.. a obcy śmieli by się tak samo z naszych gorzkich żalów, jak się z innych naszych obyczajów naśmiewają.

Nieprawdaż, że nic smutniejszego na świecie nad to ciche dogorywające Dreżno? Ludność jedném zajęta, zbieraniem grosza, oszczędzaniem grosza, wyzyskiwaniem grosza, marzeniem o groszu, ubóstwieniem wszechmogącego talara... Niema

ubogich, niema bardzo bogatych, jest *aurea mediocritas*, ale.. w sercach i umysłach także ona panuje. Ze strachu, aby polot duszy i serca, aby żwawsza myśl na stratę talara nie naraziła; dusza, myśl, serce trzymają się w ordynku stąpając porządnie drogą żywota.. noga za nogą.. do mogiły. Po nieboszczyku sukcesja jest najlepszą jego pochwałą, dowodzi, że umiał być praktycznym.

O weselach mało tu słyhać, czasem tylko państwo młodzi zwiastują w *Anzeiger*ze, że się już pobrali, — o chrzcinach też nie głośno, *Anzeiger* je wzmiankuje za groszy dziesięć.. ale pogrzeby acz ciche bywają wspaniałe.. nieboszczyk każdy zostawia na to fundusz. Nie szczędzą mu też palm, zwycięskich wieńców, koron i kotwic z kwiatów.. płaci za wszystko sukcesja...

Przywiązanie do grosza jest tu tak na-

iwne, dobroduszne, tak bezwstydnie dziecinne, że prawdziwie w końcu rozczuła. Pan Bóg im niezawodnie przebaczy, bo nie wiedzą co czynią, płynie im to we krwi, wyssali poszanowanie silbergrosza z mlekiem.... Mylę się, chyba z krowiem, bo w ogóle macierzystego nie kosztują..

U nas obyczaj całę przeciwny, nawet skąpiec udaje wspaniałęgo, tu rozrzutny (*rara avis*) musi dla świata grać rolę sknerę, familja wzięłaby go nicochybnie w kuratele, gdyby sobie nadto pozwalał, mieliby go za obłąkanęgo.

Tak jest w tęg ubogięj, i uszczuplonej Saxonyi, tak samo po troszę w całych Niemczech jeśli nie po całym świecie, prócz u nas. Przedewszystkiem pieniądz — reszta to tylko sos i przyprawa do tęg mięsa.



My, dla których grosz był zawsze *cura posterior*, naturalnie w pośród bałwochwalców znajdujemy się jak na innym i nowym świecie.

Położyłem na czele to utrapienie pierwsze, to też ono przeważnie na cały organizm życia wpływa i wyrabia stosunki dla nas nieznane i nowe, które najmocniej nam ciążą. Z niego strunykami pomniejszych idą inne bóleści naszego wygnania wśród obojętnych. Wszystko aż do najłżejszój współczucia oznaki kupować potrzeba. Służy ci tu baronowstwo, hrabiowstwo, szlachectwo wielce poważane, ale dla tego, że ono przedstawia owe położenie towarzyskie, które każe się domyślać majątku. Umysłowe wykształcenie, talenta, sposobność do jakiegoś przedsiębiorstwa i pracy.. nie pociągają, odstręczają owszem i budzą jakąś nieufność. A nuż ty zażą-

dasz miejsca dla pracy? A nuż zamiast dać im talara przywiezionego z Polski, zapragniesz go tu zarobić!!

To już zbrodnia! Ten talar należy krajowcowi, zapracowując go odbierasz mu, kradniesz.. jesteś niemal uważanym za złodzieja.. Naówczas donoszą o tobie, że jesteś człowiekiem bardzo niebezpiecznym dla pokoju Europy, i jednego białego (raczej szarego) poranka, odbierasz drukowane pod pieczęcią zawezwanie do dyrektora policy, abyś się w nim stawił osobiście. Idziesz tam, czekasz w przedpokoju, aż urzędnik zielony lub zielonkowaty przychodzi ci oznajmić, że masz we dwadzieścia cztery godziny opuścić gościnną ziemię Sasów.

Zdumiony ośmielasz się pytać o przyczynę.. naówczas zielony urzędnik obrażonyuchwalstwem twym, spogląda na cie

z góry i zabija cię aforyzmem — że policja niema żadnego obowiązku tłumaczenia się ze swych wyroków.. jest to rodzaj trybunału tajemniczego, który wyrzeka... ale się nie zniża do motywowania swych dekretów.

Musisz więc zwinąć manatki (jeżeli ci pozostały) i pod przyjacielskim nadzorem przebranego do niepoznania w suknie cywilne i nieposzlakowany cylinder policjanta, wsiadasz do wagonu.. szczęśliwy jeśli jeszcze anioł stróż niewidzialny nie towarzyszy ci do granicy.

Za to cudzoziemiec, który ma sakwę nabitą, najmuje wspaniałe apartament.. a jeśli broń Boże jeszcze trzyma konie i urządzi się po pańsku, wzięwszy sobie lokaja i strzelca.. może być pewien, że nawet do jego przedpokoju nie zajrzy natrę-

tna twarz urzędnika policyi, któremu powierzona jest troskliwa piecza nad przybyszami. Czuwają nad nim, kłaniają mu się, pieścżą go z obawy, aby talarów nie wywiózł gdzieindziej. Są to prawidła niezmiennie obejścia się z wędrowcami, których nieszczęśliwa gwiazda zagnała nad brzegi Elby.

Wszędzie indziej może cudzoziemiec choć cokolwiek przybliżyć się do autochtonów, tu stosunki z niemi nader są trudne, wyjąwszy klasę służebną, która na wszelaki sposób służyć mu jest gotowa.. byle płacił.

Dwór, można rzec, jest niedostępny nawet dla najdostojniejszych, rzadko kto się prezentuje, rodzina cała panująca żyje odosobniona, cicho, skromnie, a maluczka garstka arystokracji w tém ją naśladuje. W całym Dreźnie ledwie kilka jest powo-

zów prywatnych oprócz dworskich.. z tych niektóre jeszcze na stojących resorach.. Dosyć wytwornymi ekwipażami, które stoją do najęcia — niestety! my jeździm najwięcej, my za wszystko płaciemy najdrożej, my wykupujemy zbyt drogie towary, dla nas sprowadzają łakocie, do nas się wdzięczą sklepy, nam się kłaniają i uśmiechają najświeższe lub najbardziej wyświeżone twarzyczki. Wśród takiego społeczeństwa zimno grzecznego, przywabiającego tylko dla zysku, życie być musi niesłychanie smutne. — Ta komunja ducha i serc, której człowiek tak potrzebuje aby odmłodzić i nabrać siły — tu jest rzeczywiście niepodobieństwem; nie masz z kim myśli zamienić, dla kogo piersi otworzyć, schniesz bez tej rosy ożywczej, a dusi cię nadmiar własnego uczucia, którego wylać niema przed kim.

Nad kuflem piwa siedzą wszyscy milczący.. panie popijając *Lager Bier* robią pończoszkę, panowie palą cygara i myślą o talarze... W rozmowach wyrazy *Neugroschen* — *Silbergroschen*.. *Thaler*.. nieustannie o uszy się obijają.

Wszyscy zdają się obawiać aby kto ich kieszeni nie napastował... tam rdzeń ich życia.

Trwoga ta maluje się na wszystkich twarzach, tchnie z każdego słowa, tryska w wejrzeniu, zdradza się w obejściu.

U nas ubogie człeczko ostatni da grosz często żeby duszę z duszą spokrewnić, tu zdaje się duszę by każdy oddał, by mu tylko świętego grosza jego nie ruszono... I nie może być inaczej, każdy bowiem czuje, że gdyby, uchowaj Boże, stracił niezależność, którą ten grosz przedstawia, nie

dałby sobie rady, wszyscyby od niego uciekali jak od zapowietrzonego, nawet najbliżsi krewni, nikt by mu niedopomógł i stałby się parją najnieszczęśliwszym.

Cecha to już niechrześcijańskiego społeczeństwa, bo w Ewangeliyi od chrztu počąwszy do sakramentu ołtarza, do obowiązków braci za jakich się wszyscy uważać powinni, wszystko tchnie spojeniem w całość jak najściślejszą człowieka. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa prawo to objaśniało się jeszcze wyraźniej. Wszędzie gdzie religja wystygła i staje się czczą formą, gdzie duch Boży wiać przestaje, społeczeństwo musi przyjść do tego rozdrobnienia, rozproszenia i stanu nieufności obronnej, oczekującej tylko jakby zaczepki i gotowej ją odeprzeć. Nieznacznie się idzie do tego, ale w końcu wystygłe towarzystwo, wiąże się tylko jakimiś węzłami przy-

zwoitości i potrzeb wzajemnych, schodząc bezwiednie prawie na teorią egoizmu XVIII wieku.

Jak skoro ofiara wydaje się głupstwem, poświęcenie szaleństwem, zaparcie siebie nedorzecznnością, musi człowiek stracić cechy chrześcianina i przyodziać szatę pogąńską. Zostają kościoły, xiążki do nabożeństwa, kapłani przez rząd pensionowani, obrzędy, które stanowią przyzwoitą dystrakcją — ale religyi już niema choćbyśmy się zgodzili na jak największą tolerancją w rzeczy dogmatu, niepodobna nie zapłakać nad utraconą cnotą.

Bo czemże jest ta pozostałość wiary, która się bez czynów utrzyma, czém ta obłudna uczciwość praktycznych ludzi..? Jakaś negacją, czemś ujemném zależącym na nieczynieniu drugim co nam nie-



miło. W takiej to cnocie ujemnej, chłodnej, nijakiej przychodzi nam tu żyć, a dobrze jeszcze jeżeli się ona znajdzie.

Nic to jeszcze gdy człowiek zdrowy, młody, silny wpada w takie społeczeństwo; — ale chory, zraniony, obolały, potrzebujący pociechy i spólcucia! Zewsząd ranią go ostre kanty tego obyczaju samolubnego.. i gorzkim, gorzkim wydaje mu się ten chleb Danta, ciężkimi te wschody... do kancelłaryi dyrektorjum policyi, które upokorzony razem z włóczęgami (gdybyż tylko!) przechodzić musi..

Spytajcie jakimi go tam pogardliwemi przyjmą potém oczyma, jak szyderską mową, jakim uśmiechem obrachowanym na ukąszenie.

Dodajcie w koło milczenie opasujące wszędzie, twarze obce, mowę nie swoją,

oczy śledzące uprzykrzenie piętno obczyzny, które nosi na obliczu.. dodajcie niepewność jutra... wszystko, wszystko.. i mięso wygotowane pływające w niedogotowanym sosie i piwo Gambrinusa miasto wina i słotne niebo i piec cuchnący węglem a nie grzejący wcale, i wiejące okna i wrzawliwe wichry na moście, i wiele a wiele jeszcze.. Dziwnaź potem gdy u stolika zasiadłszy wieczorem czarnemi pasmami powloką się myśli i zapragnie się na cmentarzu choćby kątką obok wielu co już tam odpoczywają, opłaciwszy dobry najem za to ostatnie pomieszkanie.

To pewna, że cmentarz nasz katolicki w Dreźnie, jest jedným z najweselszych miejsc miasta.. kwiatów w nim pełno, ci-cho, napisy mówią znanym językiem a komissarz policyi nieprzychodzi tu co miesiąc uśmiechać ci się groźbą i kazać kła-

niać z pokorą prosząc o pozwolenie oddychania nadelbiańskim powietrzem.

Nie słyszeliśmy przynajmniej dotąd o nikim, kogoby wypędzono z cmentarza dla niedostatku legitymacyi lub politycznych podejrzeń. Oddawszy ducha każdy już jest doskonale wylegitymowanym, przestaje być niebezpiecznym, a ten kąteczek ziemi, który mu dają, wcale się dobrze opłaca. Nie można téj roli cmentarnéj nazwać nieprodukcyjną.

Dziwię się tylko jednej rzeczy, że nadzorca cmentarza, wesoły ów, rumiany jego, w czarnej czapeczce nie próbuje na grobach zasiewać kartofli... niezawodnie by się udały... Licząc tylko po pół korca na świeżego, zdrowego nieboszczyka średniej tuszy... coby to było pieniędzy... a jak smaczne kartofle! I nikt by mu tego pe-

wnie w Dreźnie za złe nie poczytał, obliczwszy, ileby za to wziąć można talarów.

Mamy nadzieję, że z dobrze zrozumianym postępowaniem pierwiastki cielesne zawarte w królu stworzenia, (który często wygląda na najlichszego sługę), zużytkowane zostaną. Trochę tylko poczekajmy.

Darujecie mi może ten sarkazm... W istocie cmentarze wszystkie w Dreźnie ślicznie wyglądają, dobrze są utrzymywane, a rodziny zmarłych nieustannie noszą na groby wieńce, kwiaty, wazoniki... Spotykam codziennie te pocziwe żałobne pochody. Często działki maleńkie dźwigają ojcom i matkom rozkwitłej trochę zieleni; a na cmentarzach u nich tak jakoś wesoło, jak gdyby w istocie w inny świat wierzyli!

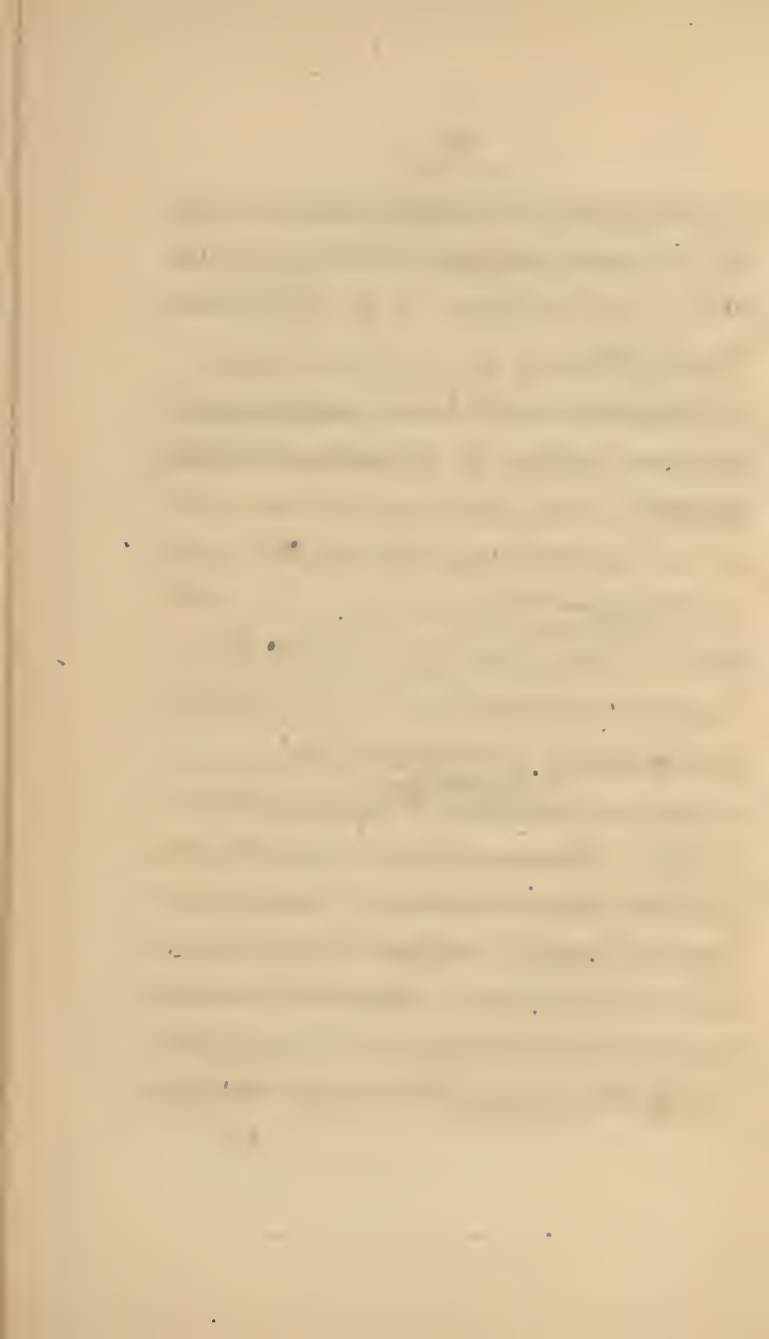
Nie pojmuję, nie rozumiem téj ich logiki, boć jedno z dwojga, albo się wierzy w niebo albo w talara... a w oboje razem nie podobna...

Prawda, że w Chinach cześć dla zmarłych jest wielka, a o chińskiem niebie głucho...

31 Sierpnia 1864.

6 Października 1865.





## II.

— Są chwile, są usposobienia, są napa-  
pady nieudolności na człowieka takie, że  
się nie czuje na siłach, aby coś większego  
mógł począć i coś porządniejszego zrobić  
potrafił. Przecież nie podobna mu się z  
założonemi rękami i dać się pochłonać ni-  
cości w spoczynku bezmyślnym..

Przywykły do zajęcia zrywa się do nie-  
go, jak amputowany, co ze snu wstając,  
chciałby stąpić na obie nogi, zapomniaw-  
szy, że jednej z nich już nie ma i nigdy  
mieć nie będzie. W takiej chwili poczyn-  
ając te zarysy, pocieszam się, że samo utra-  
pienie duszy, musi wśród plewy rzucić ja-

kieś ziarno na te karty... Cierpienie wiele może; więcej ono dobywa z człowieka niżeli pokój, który usypia. Zresztą piszę, bom nawykł do głośnej spowiedzi z tego co czuję, myślę, widzę, a jeśli grzechy mojego terazniejszego żywota nie będą ani nowe, ani bardzo zajmujące, spowiedź z nich przynajmniej będzie szczera i prawdziwą. I to coś warto przecie na terazniejsze ciężkie czasy, gdy o prawdę tak trudno.

Na tem wstęp kończę, boć trzeba coś było powiedzieć choć tu, o tych kilku kartach wieczornych przypomnień, dla wytłumaczenia ich i przedstawienia tym, co je w rękę wziąć zechcą. Są to dzieci tęsknot wygnańczych.

Jesteśmy w Dreźnie, Wendowie mówią w Draždanach, a po słowiańsku oznacza



to okolicę lesistą. Miejsce to dobrze jest znane Polakom nie od dzisiaj, przywykli przejeżdżać tędy, przesiadywać tu, a nawet umierać. Stoliczka trzeciego rzędu, kraiku, który dziejom naszym nie jest obcy. Panująca w nim rodzina, siedziała długo na tronie polskim, i zostawiła na nim ślady swojego pobytu. Za króla Sasa... żyj, pij i popuszczaj pasa.

Ale pasa takeśmy sobie popuścili, że potem z nas spadł całkiem...

Mówią, że gorzkie wspomnienia także zachowały się w rodzinie królewskiej z tych czasów polsko-saskich: przypisują straty terytoryalne, uszczuplenie granic, upadek dzisiejszy tej nieszczęśliwej Polsce, która także miałyby się na co poskarżyć.

U nas tradycye mówią o wypotrzebowaniu polskich bogactw i zasobów na ko-

rzyść domu saskiego, a dom saski utrzymuje, i nie bez pewnych dowodów, że się dla Polski zrujnował, że się dla niej zastawił, wyprzedał, aby się w niej utrzymać, że zmniejszone jego znaczenie i mienie jest karą za jego poświęcenie dla Polaków. To pewna, że rodzina panująca nie bardzo nam sprzyja, że gorycz jakaś pozostała na dnie serca jej, może dlatego, iż mimo wielkich ofiar na tronie polskim utrzymać się nie mogła. Jest to faktem łatwym do dowiedzenia, że dynastia saska zapewne nie zyskała na swych stosunkach z Polską, ale równie może łatwo byłoby dowieść, że Polska na nich nie wiele wygrała, a dużo straciła.

W Polsce czasy panowania Sasów w żywej są jeszcze pamięci, nie powiemy, by przypomnienia ich były przyjemne: są to

lata upadku, nie zyskał naród w tej epoce ani na oświacie, ani na zamożności, ani na potędze, ani na sławie, ani na rozwinięciu swych instytucyj. Od Stefana Batorego poczęta walka z ustawami krajowymi panujących, usiłujących władzę swą rozszerzyć a odebrać przewagę stanowi szlacheckiemu, przedłużała się za Sasów konwulsyjnie; szerzyła ona zepsucie, mnożyła rozterki, rozpleniono cudzoziemczyzną chorobliwą zamiast istotnej cywilizacyi...

U dzisiejszych historyków z małymi wyjątkami wszystka wina upadku Polski kładzie się na jej instytucye, na szlachtę; bo-  
leją sędziowie przeszłości, że władza królewska silniejszą nie była, że szlachta zbyt się wzmogła, że — jednym słowem Polska nie zmieniła się w porę na państwo monarchiczne czysto, z dynastją panującą i

charakterem innym, któryby większą nadał siłę ku obronie.

Sąd ten o przeszłości tak dziś jest rozpowszechniony, przyjęty, że walczyć z nim trudno. *Salus populi* (czy *reipublicæ*) *lex suprema*, mówią dziejopisarze, niechby Polska sprzeniewierzyła się idei swej narodowej, a ocalałaby byt... Są inni, co samej tej idei narodowej, której podstawą była swoboda i równość, odmawiają znaczenia.

W istocie sąd o tej przeszłości, a nadewszystko o walce szlachty z panującymi o władzę, nie jest łatwy do wyrzeczenia absolutnie. To pewna, że nie winą tych instytucyj swych, na które dzisiaj miotają pioruny, upadła Polska, ale przez to, że nigdy ogółu większość, że ludzie nie stali na wysokości tych instytucyj.

Ztąd złe ich pojęcie, ztąd ścieśnienie swobód i objęcie ich przywilejem jednej klasy narodu, choć zaprawdę do tej klasy dostęp zasługą był bardzo łatwy.

Instytucye zmieniać i łamać nie było potrzeby, żyłaby rzeczpospolita i z niemi, gdyby ludzi do pojęcia i wykonania ich miała.

Ludzi nam brakło.

Przyczyną tego braku było złamane wychowanie publiczne, nieład w niem, pojęć ciasnota, niedołęztwo. Zginęliśmy przez brak zarówno wychowania i oświaty, które niedostatecznie kształciły ludzi. Co było w nich najlepszego, najcenniejszego, charakteru wyrabiało surowe tradycyjne wychowanie domowe, co zeń brał człowiek tem żył, szkoły były złe zupełnie i raczej psu-

ły, niż dokończyły dzieło u ogniska domowego poczęto...

Istotna przyczyna upadku Polski leży w braku szkół, oświaty i w zwichnięciu w XVI Iwieku publicznego wychowania. Przypatrując się ludziom znamienitszym XVII i XVIII wieku widać najlepiej, jak często talenta istotne, złamane były niedostatecznem wykształceniem, ciasnotą pojęć lub powierzchowną cudzoziemską ogładą przywiezioną z za granicy, która z krajowego życia potrzebami w żadnym już nie była związku.

Może się uśmiechnąć nie jeden czytając ten ustęp, lecz chcielibyśmy, aby się nad tem zastanowiono pilniej. Wszystko złe z tego maluczkiego płynie źródła, a choć i dziś jeszcze najmniejsza część budżetów poświęca się wychowaniu, największa część

klęsk kraj dotykających, z niedostateczności i fałszywego kierunku jego pochodzi.

Ale wróćmy do przedmiotu; należy to do przeszłości, dajmy jej pokój, niech spi w grobie i pruchnieje na święty popiół czysty, który wiatry rozwieją, aby nim rolę przyszłości użyźnić...

Saxonia należy dziś do mniejszych państw niemieckich, które się obracają jak satelity w około dwóch głównych planet germańskiego nieba Austrii i Prus. Dotąd szła ona i radaby iść z katolicką apostolską Austrią, do czego ją skłaniają tradycje, wyznanie katolickie rodziny panującej, stosunki rodzinne i wstręt a obawa zaborczych Prus, ku którym niechęć w kraju jest wielka i powszechna. Rzadko się tu pruski oficer pokazuje, ale mało który nie dozna jakiej przykrości. Sympatya

dla drugiego sąsiada jest dosyć widoczną także; Saxonia oprócz tego usiłowała i stara się skupić w około siebie pomniejszych kraje Rzeszy, ale mimo wielkiego talentu pierwszego swego ministra, nie zdaje się by mogła stanowczą rolę odegrać w dramacie jedności niemieckiej. Obok Austrii i Prus, przy Bawaryi i Hanowerze, Saxonia musi się ograniczyć stanowiskiem podrzędnem. Wzdycha ona próżno do odzyskania, tego co straciła w ostatnich czasach. Obcięta, mała, zepchnięta z wielkich nadziei, które niegdyś karmiła, Saxonia cała oddała się pracy wewnętrznej około zubożenia, uporządkowania, zużytkowania wszystkich sił swoich. Na tej drodze, potrzeba przyznać, uczyniono wiele i skutecznie, ale materyalna pomyślność kraju nie idzie w parze z moralnem jego wykształceniem. Gospodarstwo, przemysł, handel, drogi, fa-



bryki, rękodziela, kwitną i przynoszą owoce, ale w ogóle charakter narodowy nie ma cech wybitnych, nie objawia się żywszem pragnieniem żadnem; nawet jedność niemiecka, która rozgrzewa chwilowo, nie ma ci świętego ich spokoju.

Nie lękając się zbytniego nadużycia swobody nawet, Saxonia daje jej swym mieszkańcom dozę teoretycznie większą, niż pragnąć i zużytkować mogą, połowa przynajmniej konstytucyjnych praw narodu spoczywa w futerale, niepotrzebna, bo ich użytku nikt nie rozumie.

Istnieje tu wprawdzie jakaś postępowo opozycja i jakaś *Fortschritts-Partei*, stronnictwo postępowe, złożone z kilku lipskich professorów, kilku drezdeńskich adwokatów i garstki młodzieży, ale ci idą ostrożnie, i nim się kiedyś zaczną posuwać naprzód,

uznali wprzód za słusne wybrukować gościńiec, którym pomaszerują, tym czasem usilnie się krzątają około znalezienia kamieni. Opozycja tutejsza milcząca, wyczekująca, obawiająca się policyi, (bo policya gra przeważną rolę w Saxonii) odzywa się czasem na zgromadzeniach ludowych, niekiedy w organie swym, Gazecie konstytucyjnej, bardzo rzadko na posiedzeniach rady miejskiej, nareszcie w izbie, ale skonstatowawszy, że istnieje, ogranicza się na tem. Nikt też się jej nie lęka.

Charakter ogółu mieszkańców tego spokojnego kraiku wykarmionego kartoflami i piwem, jest najlepszą rękojmią, że ani za prędko, ani za daleko nie wyskoczy przed drugimi. Sasi pracowici, oszczędni, wytrwali, cisi i lubiący porządek, przywykli do życia umiarkowanego we wszys-

tkiem, prawidło to zastosowują i do społecznego i do politycznego bytu swojego. *Ne quid nimis* napisać by można przy herbie Saxonii, choć go dwaj Herkulesy z pałkami trzymają... *aurea mediocritas* kwitnie... Ani fortun zbytecznie rozrosłych, ani też nadzwyczajnej nędzy tu nie ujrzycie.

Przeważny liczbą i znaczeniem jest stan średni. Dla niego widocznie i szczególnie dla niego ściele się tu życie, urządzają stosunki, budują domy, zakładają kawiarnie i grają teatru. Zbytkowne towary, szerokie mieszkania, wspaniałe ekipaże są dla przejezdnych szczególnie Anglików i Rosyan, których Drezno liczy bardzo wielu. Niemal każdego roku zimuje tu do tysiąca rodzin z samej Rosyi. Tym wolno sobie pozwalać, zbytkować i folgować pysze i sybarytyzmowi, Sasi tego nie po-

trzebują, nadto są wytrawni... każdy co niedziela i święto wystraja się bardzo porządnie, idzie na przechadzkę z małżonką, wypija kilka kufłów piwa lub kawę, ale powróciwszy chowa kapelusz do pudełka i zdjęwszy rękawiczki nie pierwszej świeżości, pracować będzie tydzień cały ze spokojem sumienia. Fortun bardzo wielkich nie ma nad kilka w całym kraju. Ale większość używa dobrego bytu i uczciwego dostatku.

Pracują tu wszyscy szczerze i bez oddechu, nikt się nie uwalnia od' tego obowiązku dla tego, że już ma dosyć (jak u nas), owszem im więcej ma, tem pragnie mieć więcej. Skala używania nie mierzy się posiadaniem ale nawyknieniem, nie podwyższa w miarę przymnażania fortuny, ale zastosowuje się do obyczaju. Dla tego też majątki rosnać muszą.

Przypatrując się życiu, jakie się przedstawia w Dreźnie, zadziwić się potrzeba jego skromności w ogóle i dobremu pojęciu. Nie zbywa nikomu na tem co życie samo utrzymać może pod wszelkimi względami. Ceny tego co karmi umysłowo i zmysłowo są dostępne każdemu; muzyka, sztuka, teatr, prawie dla wszystkich stoją otworem; arystokratycznych fantazyj i nawyknień nie ma, a jeżeli się co na nie obrachowywa to dla tego tylko, że z niemi cudzoziemcy przyjeżdżają.

Nic spokojniejszego nad Drezno, miasto z życiem wiejskiem: pełno zieleni, ogródków, alei, cienia, i wszędzie tysiące dzieci na rękach piastunek, na wózkach, wózeczkach, pieszo. Tych wózków dla dzieci, w których często siedzi ich po dwoje i troje, pełno w każdym kątku, w ogrodzie, gdzie tylko trochę jest cienia.

i murawy; wielki ogród, *Zwinger*, *Bürgerwiese*, nawet taras królewski zasiany dziećmi.

Jak tylko słońce zabłyśnie a powietrze znośne, piastunki z dziećmi wynoszą się na powietrze i cały dzień go używają. Z jednej strony to przywyknienie do zmian atmosferycznych może korzystnie wpływać na zdrowie, i w ogóle ludność jest czerstwa, silna i rumiana (do czego i praca przyczyniać się może) ale nadzór macierzyński nad dziećmi jest mniejszy. Matka zdaje je na piastunkę, a sama pracuje. U nas rzuca się dziecię dla zabawy, książki, muzyki, wizyt, tu dla kuchni, dla targu, szycia... Trudno obrachować jakie być mogą tego skutki, ale co do higienicznego wpływu tego wychowania pod gołym niebem, niezawodnie on jest dobry i dzieci wyglądają ślicznie. Mówią tylko

że wielka liczba ułomnych, jaka się tu spotyka, wożeniu na wózkach się zawdzięcza; dziecię skurczone długo, piastunka nie bardzo patrzy... powoli się krzywi i i krzywem zostaje. Ludność dziecięca więcej niż gdziekolwiek wychodząca na jaw, zdaje się tu nieproporcjonalnie wielka. Piszę co widzę, nie mogę wrażeń mych skontrolować statystyką, ale nie zdaje się, by tu stosunkowo dzieci było więcej niż w innych krajach, to pewna, że małżeństw mniej jest niż gdzie indziej... ale o tem później jeszcze.

Gdyby nie cudzoziemcy, a prawdę rzekłszy głównie Rosyanie i Polacy, Drezno byłoby prawie taniem miastem; nam jest wszędzie drożej, bo na naszą nieopatrność co do grosza i brak ściślejszej rachuby przyzwyczajono się już liczyć. Jak we Włoszech *forestiere* jest rzeczą, na której wsze-

lakiej spekulacyi bez zgryzoty sumienia dopuścić się można, tak tu *der Fremde* także płaci za swą nieświadomość kraju i niecierpliwość, czasem za swą pychę i miłość własną, z której bardzo słuszenie oczyma mu się śmieją. Ta chęć popisu przed nieznanymi z jakąś butą i paradą, któreśmy wzięli w spadku z mniej wykształconych czasów, nie opuszcza nas dotąd, często dla kilku kelnerów, którzy szydząc patrzą zdala na to nadrabiane państwo, gotowiśmy duże popełnić głupstwo, za które potem o suchym chlebie pokutować potrzeba. Wliczyliśmy już to sobie do wad narodowych, do cech naszego charakteru, nosimy to jak znamię właściwe niesłuszenie. Dosyć się przypatrzeć ludziom w ogóle, a przekonamy się łatwo, że to cecha wszystkich nieco podcywilizowanych ludów, dużo jeszcze młodych i niedojrza-



łych... Jest to po części studenterya. Nie mamy tego w charakterze ani we krwi, mamy to w młodości, z której wyjść nie umieliśmy, choć pod innymi względami zgrzybiali.

Miedzy innemi lekarstwami na tę słabość dałbym tę prawdę, że cudzoziemcy daleko więcej szanują ogłędnego i bacznie rachującego się człowieka niż butnego fanfaroną, którego z łatwością oszukać mogą, ale się prawie nad nim litują. Kłaniają mu się bardzo nisko, ale się z niego potem niepoczciwie śmieją. U nas to rzućcie grosza obudza może uszanowanie, tu prawie rodzi pogardę, wiedzą bowiem dobrze, na czem się kończą te szumne popisy, na długach niepłaconych, niedostatku, wstydzie i upokorzeniu.

---

Wiemy to trochę z tradycji, że część Saxonii dotąd jest krajem słowiańskim, że tu jeszcze żyją Łużyccy Serbowie, językiem swym mówią, piszą, modlą się, wynarodowić się nie dali; mniej może ludzi wie, że Drezno niemieckie, starosłowiańskie Draždany (las, puszcza) są osadą łużycką także, że Łaba słowiańska przechrzczona na Elbę oblewa brzegi, po nad którymi dziś jeszcze gdzieś gdzieś rozlegają się pieśni prastare. Spotkawszy się tu z tą resztką plemienia wyciśnionego przez zabiegliwych niemiaszków, wiecznie sobie człowiek zadaje to pytanie, dla czego oni byli silniejsi, co stanowiło tę siłę, dla czego z tą miną pokorną, z tą postacią, chłodną, z tą flegmą obojętności oni posiadli cudze, a my ze swego wydziedziczeni zostaliśmy?

*Le monde est aux flegmatiques intelligens,*

sprawdza się tu jak wszędzie. Tę flegmę czy winni są kartoflom czy piwu czy krwi, co w ich żyłach płynie (może stoi), czy wpojonym od dzieciństwa obyczajom?... Czy my byśmy nie mogli nabyć jej przecie, jeżeli nie dla siebie to dla dzieci naszych? Nie zła by to rzecz była i potrzebna. Wprawdzie przez tę flegmę wiele z przymiotów naszych dzisiejszych znikłoby i musiałoby przed nią się upokorzyć, ale może i my panowalibyśmy nad tą ziemią, w której kości ojców pruchnieją. Tu znowu pytanie czy koniecznie panować potrzeba ażeby być i czy cierpienie a ucisk nie jest także inną bytu formą, może doskonalszą i ostatecznie obfitszą w owoce dla ludzkości — ? Czy nasza walka głośna i wrzawliwa, czy ich cicha i spokojna a uparta, więcej jest warta w obliczu wieków i dziejów? Zastanówcie się

i niech czytelnik reszty w swej duszy dopiewa, ja się przyznaję że nic nie wiem.

Wprawdzie redaktorowie *Czasu*, zmieniawszy po ostatnich wypadkach sposób zapatrywania się na wszystko, co się nas tyczy, codziennie prawie powtarzają nam, że męczeństwo nie jest już życiem narodu, że poró wnywanie Polski i jej ofiar do chrześcian pierwszych wieków jest fałszywe, jednym słowem starają się przekonać, że lepiej być szczęśliwymi niż prześladowanymi i bolejącymi.

Z tego naturalnie płynie, iż dla tej szczęśliwości coś chociażby z narodowego charakteru i posłannictwa poświęcić należy. I tego dorozumiewać się dają często napady na poetów co męczeństwo okrywają aureolą świętości.

Nikt zapewne z dobrej woli nie szuka męczeństwa, nie wybiera nieszczęścia, nie

lubuje się w niem dla jakiejś próżnej z niego chwały, wolelibyśmy i my widzieć Polskę szczęśliwą, silną, wielką, a dzieci jej na domowym zagonie spiewające pieśń dziękczynną Bogu...

Ale są rzeczy, których dla dostąpienia pokoju, dobrobytu materyalnego i potęgi poświęcać się nie godzi — to sumienia, posłannictwa, ducha narodowego. Jeżeli od nas wymagają ofiar tych, lepiej jest cierpieć, a cierpiąc lepiej się czuć męczennikiem, niż nieszczęśliwym a zgniecionym aż do upodlenia. Uczucie to męczeństwa pociesza, podnosi, uzacnia.

Powiemy więc ze Ś. Pawłem:

*Nollite extinguere spiritum!*

---

Otóż stoimy przed tą sławną drezdeńską galeryą, która poczęła się zbierać gdy jeszcze Sasi u nas panowali.

Nie damy tu wcale ani spisu ani przeglądu galeryi, szczególnie dla tej przyczyny, że najtroskliwszy na nic się nie przydał, a im jest bardziej wyczerpujący tem mniej naucza. Z rozumowanych owych regestrów ten tylko mądry, kto przedmioty zarejestrowane sam wprzód obejrzał.

Galeryja jest liczna i bogata, możemy do niej nie ten tylko raz zajrzeć. Rzeczywiście ma kilka tylko brylantów, które w niej świecą, tak że reszta, *stellæ minores*, zupełnie przy tych słońcach gasną.

Syxytyńska Madona Rafaela, obraz zagadkowy, wielki, dla pospolitych widzów niedostępny, chwalony na wiarę tysiąca poprzednich pochwał i zachwytów; cudowna Matka Boża Holbeina, w swym rodzaju arcydzieło; Tycyana grosz Cezara; Marya Egipcyanka, kilka krajobrazów Ruysdacla...

z resztą prześlicznych rzeczy mnóstwo, przedmiotów do studyów bez liku, ale wiek by nad niemi spędzić potrzeba, nim by z nich wszystką myśl, która tam pogrzebiona lub spowita leży, wydobyć się udało.

Syxytyńska i Holbeinowska Madony porównane z sobą, są niesłychanie nauceczające. Cały charakter sztuk dwóch narodów, zupełnie odrębnie usposobionych do pojęcia jej i tworzenia, wyraził się w najdoskonalszy sposób w tych dwóch arcydziełach. Los nie zbliżył ich do siebie przypadkowo, postawił je umyślnie przy sobie, aby pokazać że po za te granice, dwa wielkie narody artystów nie wyjdą nigdy.

W Madonie Syxytyńskiej uderza majestat, wielkość, bóstwo i boskość Chrystusowego posłannictwa, idealność katoli-

cyzmu, mimo swych usterków lecącego po za światy — w Holbejnie ten sam dogmat, ta sama wiara, odziana w szaty powszednie, postawiona na ludzkim podłożu, przedstawiają protestantyzm który zrozpaczywszy żeby do Boga doleciał, chciał Pana Boga uczynić człowiekiem, aby się do niego zbliżył. Tamta Madona włoska, to niewiasta przepowiedziana od wieków, która miała skruszyć głowę węża — to matka serdeczna, niemiecka... pośredniczka co nasz światek maluczki za rękę do niebios przeprowadza, mówiąc... wszakżem i ja córka ziemi choć matka Boga. Tam polot w krainy ideału, tu ideał sprowadzony na ostatni szczebel, z którego jeszcze krótk: pozostałby już tylko człowiek.

Uderzyła mnie myśl jednego niepospolitego pisarza, który w Madonie Syxtyńskiej



widzi jakby matkę dziecięcia przerażoną wielkością jego posłannictwa, jakby przełękał swem macierzyństwem Boga — w Holbejnowskiej jest czysto ludzki wyraz miłości i miłosierdzia, przed Syxtyńską paść potrzeba na kolana, w Holbejnowskiej po ziemsku rozkochać się można... Rafaela dramat Boży odgrywa się w obłokach tkanych z główek anielskich, Holbejna na ziemi okrytej misternie tkanym kobiercem. Nad cudną twarz Madony Holbejnowskiej niemiecki ideał nigdy nie zajdzie dalej. Chciał go prześcignąć Overbeck i stworzył Madonę romansową, sentymentalną, sztuczną, nie żywą, teatralną.

Sztuka włoska także nie przeszła kresu, jaki jej postawił Rafael, a ze wszystkich Madon Rafaela poczynając od pierwszych w stylu Peruginowskim, do ostatnich, w których jest zaród przyszłego, ma-



nyeryzmu późniejszych mistrzów Italii — ze wszystkich może Syxtyna jest najwyższego podziwienia godną.

Nie powiem żeby jej nadziemska piękność była pojętną, zrozumiałą, dostępną dla każdego i od razu.

W pierwszej chwili, każdy oceni Holbeina, wiele osób patrząc na Rafaela, w duchu, nie śmiejąc się przyznać, spytać się może siebie — cóż tu jest tak nadzwyczajnego? Ale im dłużej, głębiej wpatruje się człowiek w to oblicze, w całość od razu tylko dziwną, zagadkową, tajemniczą; tem lepiej widzi, że malarz jej nie układał, ale rękę jego wiodło jakieś mistyczne natchnienie.

Któż nie zna przynajmniej z tysiąca rysunków, sztychów, litografij, porcelanowych lizanin tego olbrzymiego obrazu? Przychodzi przecie ubolewać że jest tak

spopolitowany, rzekłbym sprofanowany — kopiści przychodzą doń wcale się nie troszcząc o jego znaczenie, biorą zewnętrzną fizyognomię nie domyślając się ducha i odtwarzają szkielet tylko. Z tych ułamkowych wizerunków nie można mieć wyobrażenia o Syxtyńskiej Madonie, jak najlepszy portret nie daje wyobrażenia całego człowieka.

Podróżny wprzód jeszcze, niżeli ją ujrzał, jest prześladowany karykaturą arcydzieła: spotyka się z nią we drzwiach hotelu w których zawieszono porcelanową jej kopijkę, znajduje ją za szkłem u wszystkich fotografów, w oknach wszystkich magazynów, na garnuszkach od śmietanki, na talerzach, po xięgarniach, gdzie stąpi... widmo obrazu ściga go wszędzie. Z tego skutek ten, że się zużyje wrazenie ogólne obrazu, nim się doń dojdzie,

że się opatrzą zbyt oczy, popsują, oślepną, zobojętnieją. Kto chce dobrze widzieć Madonę Syxtyńską powinien z oczyma zamkniętymi pojechać do Drezna, dać je sobie zawiązać idąc do galeryi i nie zrzucać chustki aż przed obrazem. Potem już napoiwszy się widokiem arcydzieła będzie mógł patrzeć bez szwanku na reprodukcye, które mu się wydadzą czem są, nieudolnem małpowaniem bez ducha.

Ciekawą jest rzeczą przypatrzeć się przechodzącym wędrowcom przed ten wsławiony obraz, który w nowej galeryi ustawiono w oddzielnym gabinecie, starannie oświetlony, w rodzaju rzeźbionego ołtarza... Czcici tej dostąpił tu tylko Holbein, który jest prawie sam jeden, i Rafael, którego Madonna ma swój oddzielny przybytek.

Nie powiemy, ażeby urządzenie ram i podstawy obrazu wykonane ze smakiem i

staraniem wielkiem, było dlań bardzo korzystnem.

Obraz w ramach zwyczajnych na szerokiej ścianie zawieszony może by się lepiej wydał i czynił większe wrażenie...

Do tej świątyni, w której nikt głośniejszego wyrazu wyrzec się nie waży, wchodzi wszyscy przygotowani do zachwyty, przejęci, skupieni na duchu...

Jedni siadają na naprzeciwległej kanapie, drudzy na krzesłach, reszta stoi szukając sobie jak najwłaściwszego punktu do oglądania obrazu... Wszyscy czują się obowiązani siedzieć tu długo, patrzeć, dumać, a niektórzy widocznie odchodzą z zawiedzioną nadzieją.

Obraz nie razi jak piorun efektem nadzwyczajnym, jest na pozór wielkiego spokoju i majestatu... i jak niemal wszystkie arcydzieła, dziwi prostotą swą, pod

której powłoką ginie zrazu dla patrzącego potęga genialnego natchnienia.

Nie jeden pyta się siebie w duchu — Ale jest że to te sławione arcydzieło?

Wszyscy co się uczyli w Rzymie Rafaëla doświadczyli tego że się go trzeba nauczyć czytać, przywyknąć do tego języka, wtajemniczyć w piękność jego. Powoli odsłaniają się przed okiem i duchem patrzącego niebieskie majestaty...

Na jasnem tle niebios zjawia się Matka Boska z dziecięciem na ręku, typ Rafaëla, piękny, nie ziemski, ubóstwiony, coś dziwnie tajemniczego, mistycznego w nim...

Jest to Madona już nie żywotem ziemskim macierzyństwa, męczeństwa, boleści żyjąca, ale panna, a matka ubłogosławiona, zjawiająca się ziemi z tą dzieciną na ręku, aby nią powiedziała ludziom

iż u tego, którego wypiastowała, wszystko wyblagać może. Na jej obliczu jest coś niepojęcie smętnego razem i potężnego... Trzeba by ukłęknać i pomodlić, się a wszyscy lornetują... Nie jest to najlepszy sposób poznania tego obrazu...

W milczeniu Anglicy, Rosyanie, Niemcy... patrzą każdy po swojemu na cudowne płótno... rzadko kto głośniejszy swój zachwyty objawi... ale sceptyków też mało... Artyści zrazu chcieliby się wdać w krytykę, ale to co się wydaje im łatwym na pierwszy rzut oka, nim wymówili słowo im samym śmiesznem i dziecinnem się już widzi...

— Draperye...

— Koloryt...

— Tło...

— Figura Syxtusa...

Każdy poczyną zarzuty, ale wpatrzysz się w twarz Madony milczy...

Najgwałtowniejsza ochota popisania się z sarkazmem, sparaliżowaną się czuje...

---

Jak ludzie bywają niezasłużenie od losu obdarowani tak są i obrazy szczęśliwe... którym się trafem powiodło na świecie — któżby powiedział że w miejscu w którym królują dwie najpiękniejsze Madony na świecie — obok tylu arcydzieł lub znakomitych przynajmniej obrazów, dorobi się równej z niemi, może większej nad nie popularności i rozgłosu.

Czekoladniczka Liotarda!!

Jeżeli gniewa Madona Syxtyńska, wszędzie a nieudolnie dla spekulacyi lichej po-



wtarzająca się, gorzej stokroć oburza ta Czekoladniczka nieznośna, z którą się rozminąć nie można.

Jest to sobie ładna *Stubemädchen*, po naszymu subretka, w stroju XVIII wieku, niosąca dla kogoś filizankę czekolady, wykonana sucho, zinnno, jasno, z natury i bez żdźbła poezyi. Za co ją sobie ci ludzie tak upodobali? dla trochę zadartego noska? białych rączek, które tu są tak rzadkie, uśmiechu głupkowatego i zaciśniętych ustek? dla wyblakłego pastelowego tonu obrazu? Nie wiem doprawdy, ale Czekoladniczkę znajdziecie w każdym sklepie, w każdym oknie, na cukierkach (mniejsza o to), na serwetkach tkaną, na kanwie szytą, po tysiąc razy powtórzoną na porcelanie (co dla niej najwłaściwsze) odtwarzaną akwarelą guaszem, olejno, na szkłe, w odlewach... aż do ostatecznego uprzy-

krzenia, znudzenia, dokuki. Kto jej pierwszy zrobił tę sławę arcydzieła, trudno wyszukać winowajcę, to pewna że we wszystkich przewodnikach, opisach, wyliczeniach znajduje się Czekoladniczkę obok Rafaela, Holbejna, Murilla i Tycyana...

Skutkiem wreszcie jakiegoś zapatrzenia się na tę nieszczęśliwą Czekoladniczkę, zdaje ci się w końcu, że tysiąc jej exemplarzy i karykatur żywych chodzi po ulicach. Typ ten nieustannie drezdeńskim mieszkańcom przytomny wpłynął na wyrobienie się pewnej kobiecej fizygnomii powszedniej, która przypomina Czekoladniczkę. Co chwila narzuca ci się a twarzyczka porcelanowa, biała, rumiana, świeża, spowszedniała, ni piękna, ni brzydka, bez wyrazu, z zalotnym uśmieszkiem chłodnym na usteczkach różowych wystereotypowanym. Wszystkie *Stubemädchen*

starają się być do tego ideału swego podobne, jest to typ drezdeński, saski... Liotard stworzył całą generację, cały naród tych czekoladniczek. Począwszy od ludowych twarzy aż do arystokratycznych, pełno tej nieznośnej pospolitej urody, przez którą żadna myśl nie przegląda.

Oblicze to spokojne jak woda przezroczyste, a na dnie jego niegłębokiem widzisz piasek biały i kamyków mozaikę...

Dla określenia stosunku ideału do rzeczywistości dosyć jest postawić przy dwóch Madonach czekoladniczkę Liotarda.

Co za charakterystyczne rozmiłowanie w tym typie najwyższej pospolitości, najgrubszego realizmu.

Natura niemiecka zdradziła się w tem rozkochaniu zdrowego mięsa i spokojnie, normalnie płynącej krwi, której żadna

burza myśli i uczuć zamącić nie jest w stanie.

---

Szczęściem wszyscy uczeni zgadzają się na to, że pomiędzy człowiekiem, ziemią krajem a zatrudnieniami jego zwykłymi i fizyognomią z nich wynikającą nierozzerwany jest związek, stosunek, który się we wszystkim odbijać musi. Inaczej pojąć by trudno dla czego w tej szczęśliwej Saxonii, żywi ludzie a szczególnie żywe kobiety tak są podobne do porcelanowych lalek. Ze starych portretów widać jednak że nie zawsze tak bywało.

Fabryka porcelany oddziaływała na ludzi i o ile życia z ludzi weszło do porcelany, tyle martwości z porcelany przelało się w

ludzi. Najlepiej się to daje widzieć na kobietach, koloryt porcelany, wyrazu tyle ile na niej, tyleż duszy i fizyognomii. Idąc ulicą mijasz nieustannie owe czekoladniczki z najpiękniejszej masy porcelanowej wyrobione, ale niby to żywe; przybrały nawet ową manierę figurynek na półkach trochę wymuszoną a po trosze naiwną. A wszystko to tak do siebie podobne jakby z formy jednej wyszło... rzekłbyś rodzone siostry, ręką Miszniewskiego mistrza wymodelowane.

Ten porcelanowy spokój błogi, jest charakterem piękniejszej połowy drezdeńskiej ludności.

Chceszli dopełnić badania nad plemieniem, które tyle wydało zdobywców — choćbyś się miał do reszty rozczarować, spojrzij kiedy poszedłszy do *Linksche Bad*, do *Waldschlösschen*, do *Grosser Garten*...

lub gdzie więcej zbiera się ludzi... z twarzy na ręce...

Twarz często będzie świeżutka, śliczniutka, rysy delikatne... ręce robotnika, z przeproszeniem łapy to jeszcze nie ręce, do tego zafarbowane wczorajszą pracą, brudne, pospolite, zaniedbane, prozaiczne... aż strach... Między twarzą tą a ręką nie ma najmniejszego związku, rzekłbyś że na śmiech i na urągowisko z sobą się tak sprzęgły... Głowa już nieco wyrosła po za rzeczywistość, ręka jeszcze spoczywa w mydlinach i krochmalu.

Ale cześć tej brzydkiej, grubej, dużej zapracowanej ręce kobiecej... ona to czyni tę twarz. tak spokojną, tak łagodną i pocziwie uśmiechniętą błogo do świata... Można podziwiać jej formę i barwę i zaniedbanie, ale potrzeba przed nią czołem uderzyć — jest to ręka pocziwa... ta

dłoń wyraża życie spędzone w znoju i trudzie, zamknięte w domu, nie sięgające poza ogródek zielony w którym bije dla oczów uciechy maleńki wodotrysk... i za drzwi żelazne oddzielające od świata... ta dłoń to cała historia tego ludu o pięknych twarzach i brzydkich łapach...

Gdy te ręce zmaleją, wybieleją, okryją się rękawiczką od Jouvina, obleją wonnościami, naówczas troska wkradnie się do serc, zmarszczki się pokażą na tych twarzach, niepokój zapuka do drzwi domu... Ta ręka, to świadectwo poczciwości. Zaczyna to ręka... ale jakże okrutnie brzydka!... o miły mój Boże!...

Już w tych ładnych główkach czekoladniczek latają może sny złote, już się przemykają obłoczki różowe, jutro może przejdą one do piersi, do serca, które bić zacznie gorączkowo i do rąk które namię-

tność wybieli, wypiękni... aż nareszcie i całą postać i nóżkę, która dziś tak śmiało stąpa po ziemi stopą olbrzymią i pewną, wykształcą i zamkną w trzewiczek nadobny... Nóżka zmaleje ale lica zbledną i chodzić nie będzie czem, a latać nie będzie się umiało... Są narody, które już do tej doskonałości doszły. Jeżeli chcecie poznać stopień moralności ludu, kultury jak mówią Niemcy, cywilizacyi i idealizmu zawartego w jego naturze, popatrzcie na ręce... Piękne rączki są niebezpieczne, a po nad niemi bije zawsze prawie tęskne serce... które szuka, czego ziemia dać nie może. Cześć brzydkim rąkom Saxonek.

---

W półtora roku po napisaniu tej rozprawy o rękach, wielce, przyznaję dziś



nie pełnej, postrzegam żem się bodaj nie omylił.

Ale jak się tu wytłumaczyć? rzecz niezmiernie trudna... Te ręce pracowite nie zawodnie, świadczące o pokoju serca, nic nie dowodzą, wszakże, gdy je za oznakę obyczaju skromnego wziąć zechcemy... Niestety nie ma tu marzeń, namiętności, szaków, ale obojętność i chłód czynią nawet surową cnotę... obojętną...

Tak mówią...

---

Nie trzeba się tak bardzo dziwić oszczędności Sasów, którym dwór ich daje nieustannie żywy jej i nauczający przykład.

Być może, iż lista cywilna króla nie

jest zbyt wysoką, że obowiązki jego znaczne są i ciężkie, że wreszcie zrujnowała się dynastia na tę nieszczęśliwą Polskę na którą tak narzeka, ale też nie ma może panujących, którzyby piękniejszy poddanym dawali przykład prostoty obyczajów i troskliwego rachunku na jutro.

Dwór nie bawi się w żadną wystawę i uroczystości, nie ma świetnych ekwipażów, ani zbyt bogatych liberyj, każdy prywatny człowiek zamożny mógłby z nim walczyć o lepszą, a wielu znałem półpanków co daleko krzykliwiej szumieli... Niektóre zaprzęgi królewskie są istotnie przedpotopowe, inne zdają się być z czasów Augusta II a te jeszcze są wcale pokaźne. Liberya paradna w migdałowych frakach ze srebrnymi galonami, ogromnemi staremi chabetami królewskimi tak dobrze czasem wy-

wozi, z pozwoleniem gnoje i śmiecia, jak gdyby nic lepszego do czynienia nie miała. Mówią tu nawet, że ze stajen królewskich wozy do niektórych tego rodzaju posług bywają wynajmowane.

Ma to swą dobrą stronę i doskonale jest zastosowane do charakteru kraju całego. Tu nikt, nawet król Jegomość, wcale się nie wstydzi zarobkowania, nie sromą się ścisłej oszczędności. Nic tu dla oka, nic dla pychy się nie robi, ale troskliwie obmyśla przyszłość. Dodajmy i to, że nie będąc już z Bożej łaski, ale panującym z woli narodu, prostym nowożytnym konstytucyjnym monarchą, król jest tylko pierwszym, najwyższym urzędnikiem i stróżem prawa, a nie ma też już i obowiązku przedstawiania mistycznego pierwiastku posłannika Bożego. Z resztą każdy teraz musi myśleć o sobie, o jutrze, o nieprzewidzia-

nych wypadkach, chociaż te jak najmniej są możliwe w poczciwej, spokojnej Saxonii. Wprawdzie między królem a narodem stoi różnica wiary i o to podobno ma lud żał do Polski, że z przyczyny korony utraconej królowie odstali od jego wyznania, ale z obu stron tolerancya jest wielka rzekłbym prawie że ten stosunek dwóch wyznań dla katolicyzmu, równie jak dla protestantyzmu, jest zbawiennym. Ani protestantyzm nie jest tu napastliwym, ani katolicyzm może być nietolerującym, sam będąc ledwie tolerowany. Zawsze to dobrze, widzieć tak przykłądną zgodę.

W Budziszynie (Bautzen) od XVI w. rozdzielony na dwoje kościół mieści w sobie razem katolicką świątynię i protestanczką, krata je tylko od siebie odłącza.

Rodzinę królewską widzieć łatwo, szczególnie w kościele, często też w teatrze,

na przechadzkach... W czasie wielkich uroczystości kościelnych idzie ona z procesją zaraz przy duchownych, z całą dworską paradą. Ale na ówczas potrzeba się wcześniej dostać do kościoła, bo dla uniknięcia ścisku i dodania obchodowi powagi, zapełnia się on żołnierzami pod bronią, a gdy nabożeństwo się rozpocznie nikogo już, prócz kobiet, nie puszczają. Obrządki katolickie wszystkie się odbywają wewnątrz obszernego gmachu kościelnego, który jest właściwie tylko kaplicą zamkową.

Piękna muzyka im towarzyszy.

Król Jan urodzony w pierwszym roku wieku XIX liczy dziś lat tyle co on, jest to piękny starzec ze spokojnem, łagodnem obliczem, nieco przypominającym Danta, którego pod imieniem Philaletesa wybornie przełożył.

Ta praca sumienna już dosyć maluje człowieka kochającego poezję, nauki, sztukę, zamilowanego w cichém życiu domowym. Sasi i króla i rodzinę kochają gorąco, tak nawet, jakby się po nich nie można spodziewać. Król ma dwóch synów, obu żonatych, następca jest dotąd bezdzietny. Xiążę Jerzy miał tylko córki, ciężyło więc przeczucie jakby wygaśnięcia tej linii a przejścia spadku na drugą... W tym roku żona xięcia Jerzego wydała na świat syna. Cóż to za szalona była radość... Zaledwie huk dział oznajmił o tem miastu, okna oświecono, co żyło wyruszyło na ulice... a w następną niedzielę Drezno płonęło całe lampami aż do najuboższej chatki, saskie chorągwie białe z zielonem powiewały na wszystkich domach. Nie było w tem nic urzędowego, przymuszonego, ale prawdziwa, serdeczna, niezmyślona radość. Gdy wie-

czorem król objeżdżał Drezno wierne, tłumy otaczały powóz, okrzyki głużyły huk dział... ludzie płakali z radości i staruszek miał łzy na oczach...

Był to widok istotnie rozrzewniający i nie naszych czasów.

W wielkim ogrodzie, jednym z najpiękniejszych w Europie (*Grosser Garten*) można pięknego wieczora wiosennego spotkać mężczyznę ubranego czarno, poważnej twarzy zamyślanej, przechadzającego się samotnie lub z jednym towarzyszem. Ten staruszek, któremu klaniają się wszyscy i który mile się wszystkim odklania, to król Jan, używający przechadzki jak inni prości śmiertelnicy, pieszo, bez eskorty, bez straży, bez policyjnych ostrożności...

Wiele, tam trosk na tem czole, które chrześcijańska rezygnacya wypogodzić umiała...

---

Drezno nie będąc nieprzyjaznem postępowi zachowuje wszakże wiele prastarych obyczajów i cywilizuje się pomalutku: nie przeodziewa zbyt szybko, nie zrzuca ani szaty zewnętrznej ani ducha... nie spieszy się w pochodzie naprzód... Nie opiera się ono postępowi ogólnemu, ale doń nie popycha, z natury swej kraj to flegmatyczny i ostrożny, a co w obyczaj weszło, szanuje. Nad wszystko cisza i spokój są mu lube...

O godzinie dziesiątej na odgłos trąbki nocnego stróża zamykają się wszystkie kamienice, a w ulicach nie ujrzysz chyba małuczko lokatorów opóźnionych z kluczami w kieszeni. Lubię to, że tu nie ma odzwiernych i że każdy sobie sam usługuje, ale też tyranii paryzkiego portyera nie podlega. Jeżeli klucza zapomniał, próżnoby dzwonił, nikt mu nie otworzy, a jeśli się uprze



hałasować, wymówią mu mieszkanie i z okien połajają... Przepisy policyjne zabraniają wszelkiego hałasu, grać nawet po jedynastej nie wolno, ani zbyt późno tańcować; najmniejszy zgiełk uliczny wywołuje skargi miłujących ciszę mieszkańców. Od niejakiego czasu zaprowadzono tu wyprzedaż cząstkową węgla, na wozach obwożonego po ulicach i przed nimi idzie posługacz z dzwonkiem, bo okrzykiwać żadnego towaru nie wolno. Ten dzwonek jakkolwiek niegłośniejszy nad nasze zwołujący na prymaryą, nie podobał się Sasom. Kilkakrotnie protestowano przeciw niemu... narusza im spokój święty! Lud to łagodny a pracowity, ceniący ten wielki żywioł spokoju, na którego tle tylko praca się rozwijać może. Z tego zamięłowania wypływa potroszę i trzymanie się starych obyczajów, bo któż tam wie co nowe z sobą przynieść

moga. Stare, do których się nawykło, już przez to samo że się obyły, nie przeszkadzają, nie drażnią.

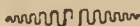
Przed laty dwudziestu zwiedzający Drezno pamiętają żółte, kanarkowe fraki z szafiroweni wylogami, starym krojem, w które się stroją z pokolenia w pokolenie ludzie noszący lektyki (drażnicy), pamiętają i lektyki takuteńkie a raczej też same, które jeszcze na Canalettego obrazach widzimy. Dziś można i te fraki wyszarzane i te pudelka do przenoszenia ludzi widzieć okolo zamku w dawnej ich sadybie i na starym rynku: w dwóch czy trzech uprzywilejowanych miejscach stolicy... kiedy niekiedy nawet przesuwają się owa lektyka przez ulicę powoli, kryjąc w głębi schorzałego starca kalekę lub sparaliżowaną staruszkę.

Jeden z moich znajomych jazdę tę ory-

ginalną nazywał jazdą na Sasach, utrzymując, że to wyrażenie sięga jeszcze epoki Augustowskiej... Lektyki, które tu tak długo przetrwały, nie bez powodu się ukazują. Drewno zamieszkałe jest przez mnóstwo chorych, przybywających tu dla wypoczynku, dawniej do Hedeniusa, teraz do sławnego Waltera, i żeby odetchnąć w ciszy i zieleni tego miasta dzieci, starców, niedołęgów i kalek...

Lektyki więc są potrzebne dla nich, jeżeli krzesło na kółkach nie starczy, a potem to stary obyczaj. Ludzie w żółtych frakach przywykli już tam stać od wieków. Zagadką jest dla mnie, jak się ta instytucja utrzymać może przy tak małym z niej pożytkowaniu publiczności, bo ci kanarkowi stoją po całych dniach z założonemi rękami, z fajeczkami w zębach, przypatrując się ciekawie firmamentowi,

o ile go z za murów dostrzedz podobna. Tej tajemnicy wszakże nie odgadłem, chociaż niektórzy z nich widocznie mają oprócz tego inne zajęcie i strużą jakieś kołki, zdaje się dla koszykarzy... To pewna że mimo obojętności publicznej lektyki i ci co je noszą, oczekują na amatorów do dziś dnia, a ktoby się chciał przejechać na Sasach jak mówi p. Alexander Weryha, może sobie tej przyjemności dozwolić za niewielkie pieniądze.



### III.

Nie można fałszu zadać staremu axyomatowi, że podróże uczą wiele, choć Emerson przekonać usiłuje, iż człowiek wszędzie siebie wozi, swój świat, własne wyobrażenia i pojęcia, azatem nigdzie nic nowego znaleźć nie potrafi.

Mijając tę powszednią a dziś bardzo ułatwioną naukę obyczajów, ludzi i narodów, do której niegdyś wielką przypisywano wagę, to co sam dla siebie z obcowania z coraz nowemi wyciąga podróżny, jest dla niego najkorzystniejszym.

Praktyczna to życia nauka, choć na biedę, najprędzej się przez nią nabywa —

egoizmu. Ileż to warstw społeczeństwa, ile mrowisk ludzkich, ile przebyć i przebić potrzeba aglomeracyj różnych, nim się na jedno trafi serce.

Ze wszystkich darów bożych, jest to najcenniejszy i najrzadszy... Nie wiem czy tak dawniej bywało, ale dziś — niezawodnie.

Serce dla rodziny, dla swoich, dla narodu, dla kraju — to jeszcze rzecz nieco pospolitsza, ale dla ogółu ludzi otwarte, dla wszystkich przyjaciół i nieprzyjaciół, to już dziś prawie niespotykana rzadkość.

Pierwszem uczuciem człowieka zbliżającego się do swego bliźniego jest — nieufność i obawa, a nie współczucie i miłość. Maluje to wiek także.

Dawniej obawiano się wprawdzie rozboju na gościńcach, złodzieja po gospodach... ale w towarzystwie rozpinał się

człowiek, poznawał, bracił i choćby jutro miał rozstać się z poznanym chwilowo, przeżył z nim chwilę w braterskiem, wylaniu się i serdeczności.

Dziś pierwszym dowodem dobrego wychowania i wykształcenia jest stronienie człowieka od człowieka. Obyczaj ten szczególnie w klasach wyższych jest widoczny. Na kolejach żelaznych, na których się teraz prawie pół życia spędza; im wyżej siedzisz tem posępniejszy chłód cię otacza, a często tem większe grubiaństwo. W trzeciej klasie spotka cię czasem zbyt rubaszna poufałość, w drugiej niekiedy uprzejma grzeczność; w pierwszej żelazne odrętwienie lub bankierska pycha, która z wyżyn worka napchanego złotem cały świat strąca pod nogi. Im indywiduum należy do wykształćszego narodu tem pewniej stronić będzie od wszystkich. Jest to więc owo-

cem nowej cywilizacji, że ludzi odosabnia.

Inaczej być nie mogło i nie może; jest ona, jak na teraz przynajmniej, cała oparta na egoizmie pod względem moralnym, nie zna zasady innej nad własny interes. Granicą jest zetknięcie się innych egoizmów, które sobie szkodzić nie chcą, aby wzajemnie nie przeszkadzały... Wspomnieliśmy Emersona, Emerson za dogmat stawia samoistne rozwijanie się człowieka, a zniewieściałością zowie, gdy kto przezliwość dla drugich siebie i los swój krępuje. Ofiary nie zna, przede wszystkim dlań obowiązkiem jest człowieka: stworzyć siebie i podnieść do najwyższej potęgi.

Nie w tem z resztą nowego, filozof amerykański sprawdza i formułuje, to co wiek zrobił swym dogmatem...

Narodów polityka idzie w ślad za tą moralnością wieku.



Litość mogąca skłonić do ofiary przeciwną jest duchowi epoki, usiłującej wyrobić społeczeństwo takie, które się obejdzie zupełnie bez tego uczucia i potrafi je zastąpić — instytucjami.

Na to są w dobrze urządzonych krajach domy ubogich, szpitale, gminne składki, domy pracy, stowarzyszenia wspólnej pomocy, asekuracje itp. aby człowiek litować się nie potrzebował i bez litości bliźnich się obchodził.

Dowiedziano wreszcie *ad hoc*, właśnie w porę, że ta litość głupia i nieopatrzna więcej czyni złego niż dobrego, że zachęca do próżniactwa, że wspiera włóczęgów, pijaków itp. że karmi ułomności tylko...

Tak wychodzimy powoli z cnót chrześcijańskich, niewygodnych przez zręczne kombinacje, organizacje, spekulacje, a-

sekuracye itp. racye.

Spółeczność widocznie dojrzewa, pozbywa się dziecinnych swych wad, słabostek, mężnieje i powoli będzie się tak samo starała obywać bez Pana Boga, jak dziś obchodzi się bez tego, co on jej przykazał; mechanizmem zręcznym zastępując dawne cnoty społeczne.

Uwagi te nastroczyły mi się nieraz poglądając na ten tak szczęśliwie i umiejętnie urządzony kraj saski, w którym ubogich nie ma, a raczej nie widać. Dla włóczęgów bez chleba urządzone są bardzo porządne domy pracy, szpitale, ochrony, a żebrać nie wolno. Chyba w czasie jarmarków ślepym i chromym dozwala się grać na pozytywkach i skrzypcach i tą nielitościwą muzyką budząc do litości przypominać staroświeckiego naszego pobożnego żebraka.

Żebrak jest to typ już w Europie niezna-  
nany, zastąpił go oszust, złodziej i roz-  
bójnik...

Nazwijcie mnie dziwakiem... mnie żal  
mego dziada ślepego, do którego na w pół  
ze strachem, wpół z litością serdeczną  
dzieci się wybiegać uczyły... Była to  
figura zagadkowa, fantastyczna, poety-  
czna... Było to coś co przypominało  
Homera w tym wieku żebractwa Lamar-  
tinowskiego, coś co pukając do drzwi  
przywodziło na myśl... samego Chrystusa  
idącego próbować zaryglowanych serc ludz-  
kich. Między nędzarzem takim a bogaczem  
uczucie zasnuwało węzeł dla serca osta-  
tniego potrzebny... Nie przekonacie mnie  
nigdy, by podatek na ubogich obudził w  
sercu jakie uczucie, prócz niecierpliwości.  
Widok nędzy jak *memento mori* potrzeb-  
nym był zapominającym się ludziom...

Hiob jest wypełnieniem człowieka losów, jak Łazarz... Praktyka czynna osobista dobroczynności ma dla człowieka wiele korzyści, kto posyła grosz przez służącego czy przez urzędnika na ubogich... ten miłosiernym nie jest. Nie ubogim z tem źle, ale jemu...

Śmiejcie się — pozwalam, nie przeczę *de gustibus non est disputandum*, ale ja żebraka żałuję, brak mi czegoś w kraju w którym go nie ma... Dom przytułku, szpital w którym społeczność pod pozorem dobroczynności, więzi za grzech ubóstwa, wydaje mi się karą okropną domierzoną przez egoistów, którzy widoku nędzy znieść nie umieją.

Nie dziwię się ja wcale, że nędzarz woli głód niż to zamknięcie w klauzurze hydnej, w której zetknięcie tyłu chorycho musi zwiększać epidemią... Najdroższy dar

człowieka, swobodę, musi tu biedak poświęcić dla kawałka chleba.

W tych przytułkach nowych społeczność niby się wypłaca z obowiązku braterskiego, ale barbarzyńsko; w istocie głównie jej o to chodzi, aby żebrak nikomu nie dokuczał, nie naprzykrzał się... chodzi jej o to, aby go surowo ukarała za to, że się nie umiał z bogacić, że śmiał pozostać ubogim...

Dziś zastukał ktoś do drzwi moich... poznałem po sposobie dopominania się o wnijsie, że to być mógł albo jakiś rzadki podróżny (*armer Reisende*) albo figlarne dzieci proszące o groszyk na gruszki... które z obawą wyciągają rączki po pieniążek, aby ich zamiast datku nie spotkała kara...

Otworzyłem drzwi skwapliwie. Wszedł bojaźliwie człowiek w surducie czarnym

wyszarzanym, w kapeluszu dosyć porządnie odświeżonym ale w bardzo wyszarzanych spodeńkach źle okrywających niezupełnie świeże buty, pokorny, przygarbiony, stary, w okularach starej formy. Zaczął od kilku słów dosyć połamanej polszczyzny...

Był to jak się z rozmowy ukazało, niegdyś wcale dobry muzyk, przewodniczący pułkowej kapeli przed rokiem 1831, pamiętał dawne dzieje, dużo się kręcił po świecie, po Włoszech, po Francyi, dziś odpoczywa w domu ubogich w Dreźnie. Staruszkowi raz czy dwa tylko w tygodniu wyjść wolno na parę godzin po południu... Nosi on zwinięty rulonik nut misternie skryty za podszewką surduta (bo mu ich widać nie wolno brać z sobą). Nie prosi on o datek, ale gdy pocznie życia tułaczego opowiadać dzieje, mimowolnie sięgniesz po grosz, aby się z nim podzielić.

Ruina to człowieka tylko... w kraju ani domu ani łomu, ani rodziny, ani krewnych... na całym świecie ani przyjaciela, ani brata... nigdzie kąta... Na własnej ziemi pokazać się nie może, bo grał Skrzyneckiemu jego marsza w 1831 roku. Sasi go żywią z litości (o cudo!) w szerokim owem więzieniu, które się zowie domem przytułku.

Biedne człeczysko! biedne człeczysko! Gdyby choć piwo saskie lubił... z serca mu choć tej pociechy życzę... bo gdzież inną znajdzie.

Wieleż to lat ukradkiem nosić on będzie swe *Adagio con gran espressione*, nim mu kto da za nie kilka groszy... A któż wie? ta kompozycja trzęsącą ale wprawną przepisana ręką, może myśl jaką zawiera... myśl całego życia, nim ono dogasło od choroby i nędzy, nim człek mło-

dy silny, pełen nadziei i pragnień nie zmienił się w szpitalnego dziadka w kapeluszu a bez spodni.

Dość żywego umysłu człowieczek nosi on pewnie w sobie legendy i wspomnienia, których powoli zapomina...

A! żebyście wiedzieli, rzekł w końcu do mnie wzdychając, jacy to grubianie te proste ludziska, z którymi ja siedzieć muszę...

Ten biedak stosunkowo wykształcony a zdaje się muzyk wcale niezły, (co z samego pisania nut poznać można, bo w nich widać wprawę wielką), posadzony na starość wśród saskich włóczęgów, opojów i ogłupiałych nędzą biedaków...

Ale w takiej już starości sierocej, czyż nie jedno człowiekowi, gdzie mizernego żywota dokona?

Użyciem zimnej wody co rana trochę



się podleczył nieborak, ma łyżkę strawy i łóżko, czegoż mu więcej potrzeba! Ani on światu ani świat jemu nowej nie zagra piosenki, wyspiewał wszystkie, wszystkie wysłuchał... nawet marsza Skrzyneckiego... który się skończył — żałobnym Chopina.

Otóż jedna z próbek tułaczego żywota naszych braci... których kraj jak wyrodków odpycha, o których jak nie o swoich zapomina—łóżko w szpitalu i grób wspólny z tymi, co mogiły nie mają czem zapłacić.

Któż z nas pewien że go coś podobnego nie spotka?

Zmarznąć na Sybirze lub zeschnąć we Włoszech pod równie niegościnnem niebem południa — wszystko jedno. Ocaleni są tylko ci, co wierni duchowi wieku, pozbywszy się uczucia, pamiętali o sobie, zapomnieli o drugich...

Odprawilem starego muzyka uściskiem ręki, to było więcej niż jałmużna, było braterskiej dłoni dotknięcie, którego nie czuł od dawna — pokłonił się odchodząc rozweselony...

Jeżeli poszedł potem na piwo... co być może, nie miejcież mu tego za złe... zostawił mi po sobie niepokonany smutek... Nigdy widmo nie zrobiło większego wrażenia na człowieku jak ten złomek przeszłości na mnie, przy usposobieniu do tęsknicy. Przebiegł świat, miał świetne chwile popisu, miał może talent, pracował, choroba go nagle złamała i z-artysty otóż dziś żebrak zamknięty w szpitalu, aby swą biedą nie raził oczów porządnego społeczeństwa, aby nie naprzykrzał mu się swem osieroceniem i nędzą...

Jednej się tylko rzeczy dziwuję, a zapomniałem go pytać o to, jakim cudem

umieścić się tu potrafił w domu ubogich?  
Czyżby to była sprawa Lipińskiego?

Wedle wazystkich prawideł dobrze urządzonego państwa, które się brzydzi ubóstwem, powinna go była policya wywieść i wyrzucić za granicę, tak jak się wywozi śmiecie za dziedziniec, boć tak się robi zwykle z tymi, co żyć nie mają z czego'...

Człowiek ubogi nie ma prawa gorszyć tego społeczeństwa bogatych widokiem demoralizującym swej nędzy...

Zaraz na granicy w wielu krajach cywilizowanych, jeśli masz minę nie nazbyt zamożną... pytają się naprzód o pokazanie pieniędzy, dopiero potem o pasport. Bez grosza jesteś paryą, nie puszczą cię pewnie. W Dreźnie odbywa się ta ceremonia w biurze cudzoziemców z emigrantami

naszymi. Od niektórych wprost dla upokorzenia tylko żądano tej exhibicyi

Gdyby się to trafiło jakiemu Anglikowi! ale ba! z Polakiem wszystko wolno, nawet z jego nieszczęścia się naigrawać mając wstążeczkę Ś. Stanisława u pętlicy...

Ale to się zowie dobrze urządzonem królestwem... trzy dni bez pasportu być nie wolno, a ani godziny bez pieniędzy... Gdyby się tu Chrystus zjawił pod postacią ubogiego?

Szcześnie ci panowie w niego wierzyć przestali...

Zanotujmy i to postępowe, charakterystyczne prawo... Malthusowskie, ubogim żenić się nie wolno... aby rasa nieopatrnych ludzi nie zwiększała się na ziemi. Mielśmy tego przykłady, że ludziom, nawet w bardzo porządnym fraku odmawiano ślubu, póki by funduszków na

utrzymanie rodziny nie wykazali. W razie niemożności złożenia pieniędzy i oprzysiężenia ich własności, trzeba, co najmniej, poręki dwóch obywateli osiadłych, iż żeniący się nie zażąda nigdy żadnej pomocy od gminy i kraju...

Ubogim tu ślubu nie dają...

Nie potrzebujemy dowodzić, jak ta troskliwość jest niemoralną. Corocznie też kilka nieszczęśliwych kobiet za dzieciobójstwo idzie pod gilotynę, a związki nieuprawnione przez kościół co dzień są pospolitsze, ludzie żyją nie wiążąc się ślubami...

Prawo to jest zaparciem opatrności, jest zniechęceniem człowieka, niewiarą w niego.

Ażeby gmina nie poniosła szkody obarczona będąc sierotą... więc się nie wolno

ożenić... prawo jest niezłomne, surowe, nielitościwe, ale człowiek ułomny...

Zrzec się zaś prawa do pomocy gminy wedle zasad legalnych nie może nikt, bo praw naturalnych przysługujących mu, nikt się nie zrzeka i gdyby to uczynił, zrzeczenie byłoby nieważnem.

Jakżeby się Malthus cieszył z tych pocziwych adeptów swoich... obawiających się przeludnienia aż do okrucieństwa... Prawo takie po prostu zabija te istoty, które miłość, potrzeba rodzinnego życia wydałyby na świat, a praca podwojona obowiązkiem potrafiłaby wyżywić...

Bądź co bądź wolę już trochę mniej systematycznie urządzony kraj, choćby z żebrakiem pode drzwiami, z podatkiem większym i większą ofiarą, a nie tak chłodno okrutny. Jest coś nieludzkiego w tej rachubie zimnej trupią ręką rachmistrza

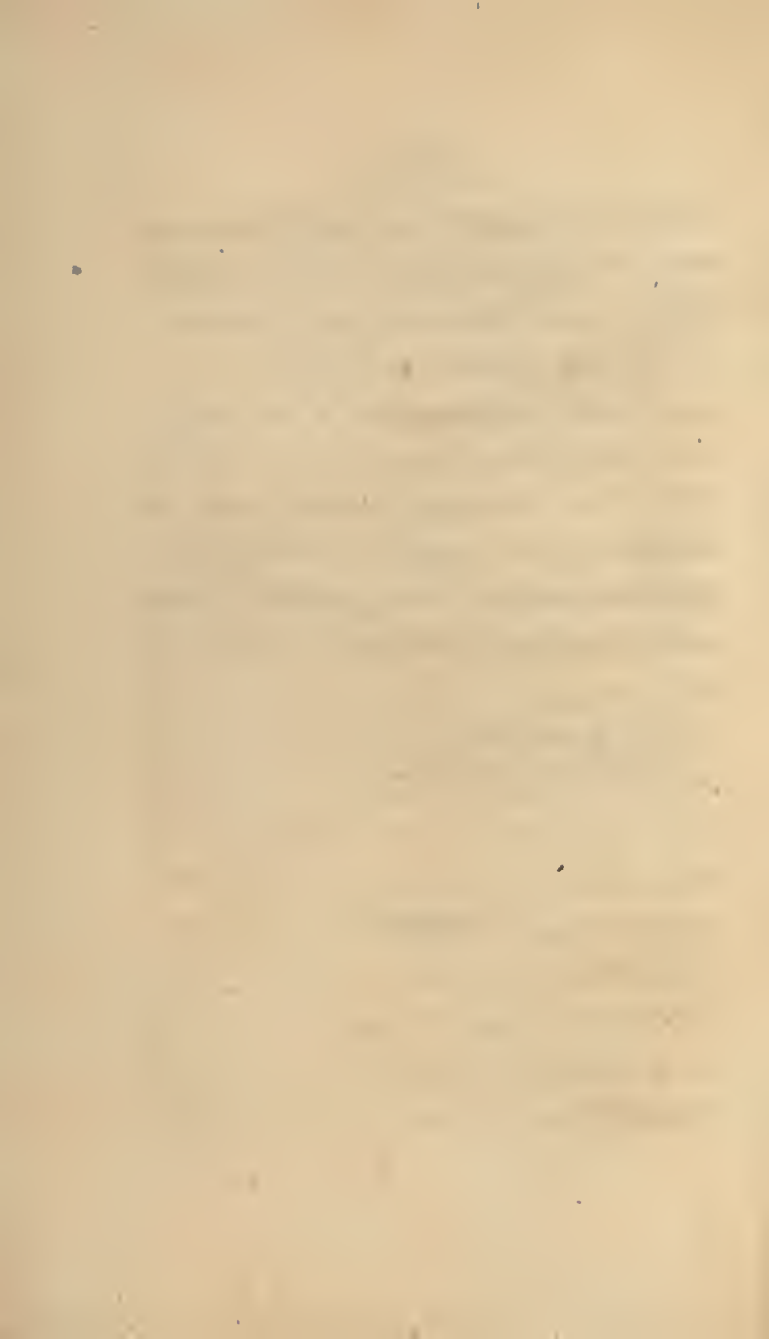
wypróżniającej kołyski, zamykającej drzwi kościoła przybywającym po błogosławieństwo wykrzykującej *veto* ze strachu o swoją piwa szklanę i kartofel.

Z wielu względów wysoko szanują prawa i urzędnienia saskie, ale serce się ścisza widząc wśród nich postanowienia tak nieludzkie, tak straszliwie cuchnące arytmetyką socyalną, której wypadki zresztą są i niemoralne i fałszywe.

31 Sierpnia 1864.

10 Października 1865







## IV

Nie wiem czy się kto zastanawiał nad tem, jak różnie to, co się zowie cywilizacją, przenika warstwy społeczne. Studya nad prawami przenikliwości... byłyby bardzo zajmujące... Jak są ciała mniej lub więcej przenikliwe dla płynów, będące lepszymi lub gorszymi przewodnikami elektryczności, tak i różne narody i klasy różne, chwytają rozmaicie i pochłaniają cywilizację, zużytkowują ją odmiennie.

Jedne z nich biorą ogładę zewnętrzną, drugie stronę jej wyłącznie utylitarną, inne kształcą się szczególniej religijnie aż do niewiary, inne — ale wyliczyć trudno.

Począwszy od narodów, które się cywilizują przez wojskowość, aż do tych, które czerpią wykształcenie ze szkoły — skala jest rozległa i niepoliczonych stopni.

W jednych krajach kultura długo nie przechodzi nad powierzchnię, nad warstwy wyższe, w drugich przesiąka zwolna stan średni, w innych przejmuje od razu lud cały aż do spodu... Wszędzie skutkiem rozpowszechnienia światła jest zrównanie stanów i zatarcie różnic między niemi. Klasy mniej oświecone, dopóki są niemi, zawsze wydzielać się muszą i stać odrębnie.

A jak barwa, która na różnokolorowych tkaniach co raz się inną wydaje, tak i cywilizacja wszczepiona na coraz różnych materiałach, skutkuje coraz inaczej, wydając owoce rozmaite. Cywilizacja stara nabyta powolnie i młoda, choćby obie równej były wartości, charakter mają różny

Bez wątpienia najszcześliwszym jest naród który zwolna, normalnie przychodził do ukształcenia gruntownego i którego ludowi dostępnem jest wszelkie światło... do-  
wiedziona dotykalnie jego potrzeba.

Jedna oświata i jej rozpowszechnienie może na ostatek położyć tamę przewrotom społecznym i przejednać zwasnione klasy społeczeństwa, w tradycyjnym boju z sobą trwające od wieków.

Wszędzie, gdzie gruntowna przeniknęła oświata, przyszło z nią braterstwo. W Saxonii, którą wycywilizował do pewnego stopnia przemysł i praca, różnice stanów na oko prawie nie istnieją. Jest pewien rodzaj respektu dla imion starej szlachty, ale wyjąwszy pamiątkę — widzimy, że żadnego nie mają przywileju, żyją jak inni obywatele, chłop czasem razem z nimi siada do stołu, a przy pożegnaniu i po-

witaniu wyciąga im rękę namulaną, na-  
zbyt się nisko nie kłaniając. Czuje on już  
w sobie godność człowieka.

Rodzina panująca żyje tak skromnie,  
tak jest przystępną, że i ona wciela się  
prawie w spójne ciało kraju całego.

Pewni jesteśmy, że gdyby nieszczęście  
jakie spotkało Sasów i zmusiło ich do  
obrony ziemi, na której im żyć tak wy-  
godnie, poszliby wszyscy jak jeden do  
szeregów...

Mylę się... mylę — jako jeden pełni  
oburzenia siedzieliby wszyscy *unanimiter* w  
domu...

Pomimo choragwi niemieckich, na któ-  
rych Germanię malują z ogromnym mie-  
czem, Turnvereinów, Schützenfestów, strze-  
lań do tarczy i ptaków, mów, śpiewów...

*Wort und That* itp.... mimo różnych przy-  
kuflu chętek patryotycznych — Niemcy

nie mają już wcale ducha wojennego... Zabić kucharza na ulicy lub przechodnia na drodze gdy się ma szablę przeciw kijowi, to jeszcze, ale bić się na seryo... nie uważają za rzecz rozsądną... Cywilizacja ich warstatowa, przemysłowa, handlowa zabiła rycerstwo dawne.

Śmiano się długo z tego, że stary obyczaj zakazywał szlachcicowi łokciem mierzyć i rzemiosło sprawiać — szlachectwo było rycerskim zakonem (ginie też z innymi zakonami) — miało doskonałe przeżucie jeśli nie wiedzę, że łokieć, waga i rzemiosło wyżyłują je z rycerskiego ducha.

Przebiegając Niemcy można się o tem przeświadczyć. Im świetniej który kraj rozwija się pod względem przemysłu i handlu, tem mniej ma do oreża ochoty. Górale, mieszkańcy krain pół dzikich to jeszcze wojownicy, których walka z naturą

ciągle usposabia do boju — spokojny rzeźmiśnik brzydzi się krwi rozlewem. W najlepszym razie z czeladnika robi się żołnierz nigdy rycerz.

Żywiołu poetycznego, marzycielskiego, awanturniczego, tak potrzebnego rycerstwu, brak tym ludziom zupełnie.

Wojna też w dniach dzisiejszych może być w potrzebach i konieczności rządzących, ale nie jest w duchu rządzonych, nie ma ona żadnej podstawy w pojęciach epoki. Chwilowo powody do niej dadzą się odgrzać w przeszłości — zrodzić się z potrzeb dzisiejszych logicznie im nie podobna. Widać już jutrzeńkę dnia, gdy militarne państw przybory będą za osobliwość ukazywane po muzeach, a kulami działowemi wybrukują chyba rynsztoki. Jak się ten spokojny kształt urobi lepiej czy gorzej od dawnego, nie wiemy, ale że nań

czas przychodzi, to pewna. Idziemy niechybnie do zupełnej metamorfozy społeczeństwa, które za sto lat zmieni się do niepoznania.

Wszyscy to czują, nie każdy pragnie i życzy sobie — ale żelazna konieczność.

Któryś z tutejszych gawędliwszych Sasów spytał naszego ziomka z zupełnie dobrą wiarą, jak Polacy, słaba garstka... porwać się mogła przeciw tak potężnemu nieprzyjacielowi?

— Kochany Michelu, odparł zagadniony sądząc że go nawróci — a gdyby — przypuścimy, Prusacy was Sasów dusić zaczęli i przewodzić wam i...

Na wzmiankę o Prusakach, których tu (oddajmy sprawiedliwość Sasom) nie cierpią wszyscy — Michel cofnął się aż mocno zaczerwieniony i poruszył... ale się dużo zamyślił.

— Wszakżebyście się oburzyli, porwali w obronie niepodległości waszej? he? dodał mówiący...

Sas dumał, popił piwa, zatrzaskał kufel z hałasem i głową rzucił.

— Ne - e! ne - e! Nie, rzekł, Prusacy są daleko silniejsi od nas... musielibyśmy siedzieć cicho i cierpieć; ale *Donnerweter*... klęlibyśmy łotrów co by wlażło!

Takie jest usposobienie Saxonii i krajów ucywilizowanych przemysłem i pracą..

Rolnik gdyby postradał w wojnie chatę, zbiór, bydło, powróci do zagona i do swojego chleba kawałka, warsztat do pracy mu pozostał.

Mienie rzemieślnika, proletaryusza lada rozruch niszczy i niepowrotnie rozprasza; a przypuściwszy nawet żeby je uchwalał, niepokój kraju oddziaływa szkodliwiej na jego



stosunki niż na zbyt pólódw rozlicznych, które są pierwszej potrzeby. Korzec żyta i kartofli sprzeda się zawsze, towar zbytkowy tylko czasu pokoju... a jeżeli jest przeznaczony za granicę, lada wstrząśnienie zapiera mu drogę do wyjścia.

Wojna wstrzymuje handel, pólódw ręko-dzielnicze idą do krajów, które ich potrze-bowały drogami innemi, wyprzedaż się ta-muje — choćby powrócił pokój trzeba szu-kać i wyrabiać nowych kupców i targów nowych.

Dlatego rzemieślnik i przemysłowiec drzy na samo wojny imię i woli poddać się nowemu panu siedząc za warstatem swoim, niż szukać innego zarobkowania i miejsca tracąc te, do którego nawyknał.

W tym świecie pracy na innych warstatach nie na roli, która jest także warstatem, najmniejsze zakłócenie stosun-

ków codziennych wywiera wpływ niezmier-  
nie szkodliwy. Rzemieślnik jeśli ustąpi na  
chwilę z miejsca jego natychmiast jest zajęte,  
inne ręce już mu pracę odebrały, trzeba  
jej szukać dalej... Traci czas, traci wpra-  
wę, klientów swych itp. Dla tego ryce-  
rzem mu się zostać nie chce... Dopóki Turn-  
vereiny zajmują mu przyjemnie kilka dni  
wrzawliwej przejażdżki, bardzo ochotnie  
słucha mów o niemieckim Vaterlandzie,  
ale gdy zaczną powoływać rezerwy, gdy  
od warsztatów przyjdzie się na dłużej ab-  
sentować, mruczy obywatel patryota, bo  
musi w ofierze ojczyźnie dać życie nie tyl-  
ko swoje na placu boju — ale całą swą  
rodzinę, którą pracą rąk żywi. Jak skoro  
warsztat stanął, robota przerwana... jeść  
nie ma co... a na głódno najtęższy pa-  
tryotyzm nie wytrzyma... Rozumi się nie-  
miecki, polski umie się obejść bez chleba,

bez wody, bez obóvia, bez wszystkiego...  
nawet bez nadziei i jutra!

Nic też bardziej pokojowo usposobionego nad fabryczne Niemcy... Obywatel który sto tysięcy talarów włożył w fabrykę, wcale w okolicy jej nie życzy sobie placu boju... Rolnikowi potyczka zabiera procent, najwięcej kapitał obrotowy — fabrykantowi wszystko... Tak samo Anglia, tak wszystkie kraje warstatowe, fabryczne, przebudnione, w których znaczniejsza część ludności zajęta jest rękodzielami, handlem, przemysłem, muszą być usposobień pokojowych.

Postęp materyalny działa zawsze jako lekarstwo dzielnie uspokajające.

Dodajmy za tem idący realizm wyobrażeń, przywiązanie się do rzeczywistości, a coraz wystygającego ducha...

Duch, idee powoli schodzą na coś zu-

pełnie po za obrębem życia stojącego ... na praktykę życia nie mają one wpływu stanowczego, mówią o nich, piszą, bawią się nimi, ale jak skoro przyjdzie ofiarom poprzeć przekonania ... uciekają się do sofizmatów, aby czynu uniknąć...

Gdyby można obrachować na pewno, że każdy obywatel kraju zyska dziennie po kilka silbergroszów na patryotycznej wojnie — niechybnie usposobienie byłoby wielce boliaterskie, ale że jest pewność, iż w najlepszym razie wojna po kilka talarów wyciągnie każdemu z kieszeni — jakże nie przekładać i nie żądać pokoju...? ... bądź co bądź!

W Prusiech rząd stara się przeciwko tym usposobieniom dobrze sobie znanym oddziaływać organizacją wojskową, któraby wyrabiała prawdziwych żołnierzy, zapominających o warstacie, o domu, o handlu

i interesach własnych; usiłuje przedłużyć służbę, aby wojak trochę o domu miał czas zapomnieć i nabrał ducha, żeby się wreszcie za coś innego już i lepszego od narodu uważał... ale... walka o ten budżet wojenny dowodzi, że się na doniosłości jego poznano.

Żołnierz niemiecki w ogóle nie jest wielce rycerskiego usposobienia, postawy, charakteru! Francuzi zarzucają pruskiemu, że jest sztywny i bez życia, innym że im tylko brak szlafmyc, by na pocziwych bürgerów wyglądali. Saski na przykład wojak nie kosztujący wojny, bo mu się nawet nie udało walczyć o Szlezwik i Holstyn, zadowolony, uobywatela się, można rzec, nawet czasu służby, ostyga i nosząc mundur дума już o tem co będzie robił gdy go zrzuci. Jest on w jego życiu wypadkiem, ale nie celem. Jest mu

w służbie dobrze, do niczego mu ona nie przeszkadza, na wiele pomaga, daje opiekę, nie odbiera człowieczej samoistności, jest to więc chleb jak i drugi, nie długo trwały, ale zdrowy. Jakim sposobem ma się tu duch rycerski wyrobić? strzelaniem do celu czy paradą? W dnie świąteczne wolny od służby żołnierz z małżonką pod rękę lub z ulubienicą przy boku, idzie sobie na swoją piwa szklankę, z cywilnymi w przykładowej żyje zgodzie, a duma o przyszlęm igospodarstwie. Muzyka jego pułku przygrywa mu w ogrodzie, cieszy się nią i chlubi, powraca do domu i kładzie w tak ciepłą pierzynę, jak gdyby nigdy nie miał spać na mrozie pod gołym niebem.

Przypatrzwszy się temu wojsku, widzisz i czujesz je anomalią jakąś i przesądem dożywającym ostatków zapożyczonego

z przeszłości życia. Inaczej wcale wyobrażamy sobie wojaka, inaczej wygląda żołnierz francuzki, włoski, nawet rosyjski a najodmienniej szwajcarski...

Francuz już chyba urodził się na żołnierza jak Polak, raz otarłszy łzę po chacie i rodzinie zrasta się z mundurem, czwani się nim, czuje spadkobiercą bohaterów, coś mu mówi, że do wielkich przeznaczeń kieruje nim opatrność, wojna go rozpromienia, bęben rozgorączkowuje, parada upaja, rana odniesiona spysznia. Włoch ma głęboko wpojona ideę oswobodzenia całego kraju, dla którego walczyć jest gotów... jest ona pragnieniem, marzeniem, potrzebą, obowiązkiem w oczach wszystkich... dopóki tego nie wykona, ma cel przed sobą, któremu się poświęca chętnie.

Nie zaręczam czy z Włocha będzie najdoskonalszy żołnierz, ale ma ogień i du-

cha, nie jest to handlarz i warstatowy czeladnik, przemysł nie miał czasu przetrawić go do szpiku, coś w nim jeszcze dzikiego, namiętnego się odzywa... Może nawet drapnąć z placu boju w wielkim upale, ale nazajutrz bić się będzie z nowym ogniem, jeszcze lepiej i zażarciej. Szwajcar jest chłodny, ale to jedyny może żołnierz z przekonania, kraj jego stoi na ramionach swych obrońców, każdy wojskowy czuje, że losy rodziny, domu, swobód krajowych, w jakiejś części na nim brzemieniem spoczywają.

Jest to rycerz przez rozumowanie, szlachetnie poświęcający się dla jasnego sobie celu... i tu każdy obywatel jest takim żołnierzem... Może nie być namiętym, ale się da w miejscu zabić z krwią zimną głęboko przeświadczonego o obowiązku człowieka.



Francuz jest żołnierzem z temperamentu, Włoch przez uczucie, Szwajcar przez obowiązek, Anglik przez honor, Niemiec pocziwy jest nim tylko z konieczności. Wyjmuje junkrów pruskich, w których jest resztką krwi szlacheckiej, skwaśniała.

Nie ujmuję przez to bynajmniej narodowi niemieckiemu, o którego waleczności, odwadze i poświęceniu nie wątpię, ale Niemiec przede wszystkim jest człowiekiem pracy spokojnej.

Walczy on na innem polu dla ludzkości, przędzie myśl i bawełnę, tka rozumowania i sukna, handluje kulturą i norymberszczyzną. Z ludów stałego ładu Niemiec najdalej zaszedł w ideę XIX wieku. Ale, zrozumiejmy się, nie mówię, by przez to przeczuł wiek XX i do niego się zbliżył, dobrze mu w XIX...

Bardzo być może, iż cywilizacja wieku

dziewiętnastego zmieni później kierunek i ducha, na dziś tylko jest taką, jaką ją sobie wyrażają Niemcy. A ponieważ literatura zawsze odbija usposobienia ogółu, więcej jeszcze od niej dziennikarstwo, można się łatwo przekonać z żurnalistyki, iż pokojowe skłonności przemagają w Niemczech.

Ostatnie wypadki w których wewnętrzne interesa Niemiec niezaspokojone, interesa idei poświęcone zostały materyalnym korzyściom zdobyczy nowego kraju, a w istocie idea abdykowała aby nie przyszło ją okupić zbyt drogo — są faktem wielkiego znaczenia.<sup>1)</sup> Na jarmarku to potrzeba widzieć Niemca, aby go w całym ujrzyć blasku, we własnem jego żywiole; tu on wesół, czuje się panem, to jego uroczystość, to najmiłsze zajęcie. Dzieci

---

<sup>1)</sup> pisano w 1864.

małe już się do handelku powoli wprawiają. Przed świętami Bożego Narodzenia ulice Drezna pełne są ubożuchłych handlarzy owych, sprzedających zabawki klejone z papieru, lepiące z gałganków, szyte ze zrzynek. Gorączka, z jaką się tej zabawie oddają, rokuje już w nich przyszłych Wittingtonów... pracujących na merowstwo Londynu. Napadają przechodzących, ciągną za suknie, śmieją się, szaleją... ale domagają groszyka... Kto je widywał w innych roku porach, nie pozna.

W budkach tkaczy i innych fabrykantów i rzemieślników w czasie jarmarków nieraz ledwie dorosłe dziecko z doskonałą przytomnością umysłu całym zarządza już sklepikiem, wie ceny, umie przyjąć kupującego.

Dzieci póki są jeszcze dziećmi, wożone na wózkach, noszone na rękach, pieszczone,

używają słodkiego wypoczynku, ale zaledwie lat doszły i siły do zajęcia, już pracować zaczynają.

Tu także czas jest groszem, a grosz wszystkim. Widuje się chłopięta w stosowanych kapeluszach i przy pałasikach, ale i ci mali wojownicy, ręczę, woleliby za straganem zarobić silbergrosza, aby rozpocząć walkę życia — o zebranie kapitału.

Piszemy to zaprawdę bez gniewu, bez myśli uchybienia narodowi niemieckiemu; niech każdy wnijdzie w siebie a uzna, że tak jest.

Kobieta zakochana... to przecie istota zdolna do największych poświęceń...

Opowiadano mi o jednej, która zajęta mocno ziomkiem naszym, zmuszonym przez policją opuścić Drezno, wykrzyknęła z gorączkowym zapalem...

— Wyjeżdża! a ja go tak kocham...

tak kocham... jestem gotową sprawić sobie nową suknię i odprowadzić go... do pierwszej stacyi.

Jeśli tak mówi gorąca miłość, jakże musi mówić obojętność, a nawet mniej płomieniste uczucie?

Zasadą, myślą główną, na której wyrosła ta cywilizacya tak dziwnie złodowaciała, była, i jest uczciwa praca. Ale jak z najpiękniejszej zasady, gdy się ją posunie do krańców, mogą wyrosnąć skutki niespodziewane; jak wiara mająca podnosić do Boga rodzi fanatyzm krwawy, jak miłosierdzie umie się zmienić w bezsilną rozrzutność, tak zacna praca zwrócona tylko ku materyalnemu z bogaceniu się z pominięciem ważniejszych celów życia, wyrodziła to samolubstwo bojaźliwe, małoduszne, a w przyszłości — wycieńczające.

Stoją po miastach niemieckich wszędzie liczne posągi wielkich ludzi, których czci Germania jako wyrazicieli myśli swej i posłannictwa narodowego; niech dzisiejsi wnukowie tych wieszczów i filozofów spojrzą w czyste, aureolą otoczone uwielbione oblicza Schillera, Herdera, Goethego, Körnera, Jean - Paula, Kanta... na którego bądź z tych jenjalnych Prometeuszów, których wydała Germania... i niech spytają jaką myślą tchną dzieła tych nieśmiertelnych? Czy żywot dzisiejszy potomków zgadza się z prawdami przez ojców głoszonemi? czy prawdy pieśni i xiąg są przewodniczkami żywota? czy to co kieruje sprawami powszedniemi Niemiec w 1863—1865 roku, wskazane zostało przez wodzów cywilizacyi i wieszczów przyszłości!

O! smutna byłaby odpowiedź!

Nigdzie między narodem a duchem wie-

szczów straszniejszej nie ma przepaści...  
pieśń i życie płyną na dwie strony przeciwnie...

Niemcy dzisiejsi stoją na mogile przeszłości, która być wcale inną obiecywała, inne idee, programy, natchnienia; serca nie biją wtórem do pieśni proroczych; czoła nie jaśnieją myślą, która tak wysoko po nad świat wyniosła owych wielkich marzycieli!

Inni ludzie, inne czasy, inne pragnienia... tam była walka z rzeczywistością tu pokorna z nią zgoda... ideały Schillera uleciały w niebiosy. Zwyciężona Germania nie śmie i spojrzeć ku nim; z okiem wlepionem w ziemię pracuje na czarny chleba... przepraszam... na biały chleba kawałek.

Posągi niezrozumiałe, niewytłumaczone chorągwie, bezpłodne zapaly; nazajutrz po-

uroczystości wielkiej i laurowych wieńcach wraca się do rachuby dziennej z troską na czole. Na tle rzeczywistości zimnej wszczepione polityczne namiętności pędzą na bezdroża dla mrzonek potęgi, której żaden naród nie pozyskał przez państwową siłę, ale przez moc ducha, jaki go ogrzewa.

Niemcy czterdziesto milionowe pod jednym berłem nie byłyby większe, ani szczęśliwsze, ani świetniejsze niż być mogą wielką sfederowaną rodziną ożywioną jednym uczuciem.

Ale tego to uczucia (domyślicie się łatwo) braknie codzień bardziej; palą się głowy nie serca... wolą Szlezwik i Holsztyn, niż postęp wewnętrzny, któryby im dał więcej nad nie. Trudno się jaśniej tłumaczyć, milczmy.

3 września 1864.

---



## Przypisek 1865 po uroczystości niemieckich śpiewaków.

(*Sängerfest*).

Nie mogę się zdobyć na opis tej wspaniałej uroczystości narodowej, która się zwała świętem śpiewaków, patrzałem na pochód tyle godzin, że nogi w końcu odmówiły posługi, oczy znużyły się patrzeniem, uszy bolały od Hoch'ów i śpiewu.. Kilkaset chorągwi wspaniale przesunęło się przed oknami, tysiące ludu, młodzieży, muzyk, szarf, wstążek, godeł, kolorów.... kilka razy napomknął ktoś, że nie dość śpiewać, że należy równie jednomyślnie stanąć do czynu, ale gdy po ostatnim dniu uroczystości rozbiegła się ta wrzawa, a w chwili rozrachunków zwołano posiedzenie Nationalvereinu do Tonnhalli ... zebrało się na nie ledwie tylu, żeby rodzaj posiedzenia był możliwy...

Smutny znak... śpiewały tysiące, radzić przyszło kilkudziesięciu ledwie i to jakoś obojętnie.

Uradzono przecie, (może właśnie dlatego, że niewielu radziło), prawie jednomyślnie, iż Niemcy nie chcą i nie potrzebują zlać się w jedno państwo, że stawiają sobie na przyszłość program federacyjny tylko...

Głosy panów Dr. Schaffrath'a i Dr. Petermann'a, były bardzo gwałtowne, mimo że oznajmiono dla powstrzymania zbyt bujnych objawów germanizmu, o przytomności na posiedzeniu, ajenta policyjnego.

Germania z mieczem i lirą występowała wszędzie, chorągwi i kolorów niemieckich było pełno... śpiewano ślicznie, ale koniec końcem ta olbrzymia manifestacja urządzona w pik Prusakom rozeszła się spokojnie i — bez żadnego widomego skutku.

Dr. Schaffrath przyciął tylko tym, pod których teraz oknami powiewały chorągwie Niemiec, że nie zawsze je tak serdecznie protegowali.

Dnia 12 października 1865.





## V.

Gdy po dniu troski i niepokoju, po wieczorze dumań lub pracy samotnej, ciężkiej aż do upadku ducha prawie ogrojcowego, znękany człowiek położy się wreszcie na tem posłaniu cudzem, karczemnem i zdrzymnie się gorączkowo z tą myślą boleśną, że odpoczywa na ziemi obcej, w domu nie swoim, w pożyczanem łożu, oddychając powietrzem łaskawie mu wydzielonem na czas krótki przez policją... nie dziw, że gdy się skleją powieki... sny zmor pełne oblegnąć go muszą.

Nie wierzę w sny prorocze, ale znam co są męczeńskie marzenia senne wygnańca.

Całe życie człowieka przeszłe, wszystkie myśli, które nim targały, powracają jak widma blade, oblegają łoże i zdają się naigrawać z boleści. Cały zastęp wypadków umarłych, ludzi nieżywych, miejsc już dziś do siebie niepodobnych, przegorzałych idei i rozwianych uczuć — powraca wytaczając sprawę przeciwko zwyciężonemu...

W dzień górę bierze terazniejszość, w nocy odegrywa się na niej przeszłość i tłoczy piersi zajadle.

Miesza się tu to, co skonało z tem, co się nie narodziło, umarli biorą pod rękę konających, wszystkie światy i byty w jeden utrapiony zbijają się chaos. W takim śnie nie dziw, że krwawy pot występuje na czoło, a gdy wstanie dzień i z nim człowiek, czuje się jeszcze więcej złamanym, niż był gdy się do snu układał...

I gdy do łoża przychodzisz chwytają cię dreszcze, boisz się ledz na pastwę tym upiorom, których żadna nie odżegna modlitwa. Lepsze jest już życie o słońcu ze wszystkimi utrapieniami ziemi, bo przynajmniej nie wyzywa do walki z tobą tylko to, co po niej chodzić ma prawo...

---

Jednej z tych nocy męczeńskich... czarna śniła się otchłań... błądziłem po niej szukając światła, dusząc się od ciemności; pod stopami ugiwała się przepaść... to znowu coś jak pęd wichru podnosiło do góry, spadałem i dzwigałem się na przemiany, alem jeszcze był nie dotknął dna otchłani, czułem ją dyszącą pod sobą...

Zewsząd otaczała mnie noc, próżnia, cisza, milczenie śmierci, nicość, przecież

tę czczość bezdennie czarną przerzynały niekiedy prądy jakieś zwiastujące niby życie... ale nierówne, walczące z sobą...

W ogromnej dali na niebiosach zamglił się naprzód jakby białawy, sinawy obłoczek... chciałem lecieć ku niemu, ale nie miałem siły własnej i dychanie przepaści to mnie wciągało w głąb', to wolno rzucało ku niemu, tak żem się doń przybliżyć nie mógł.

Po zwiększaniu się zjawiska wszakże czułem, że albo ono szło ku mnie, albo otchłanie coraz mnie bliżej ku niemu rzucały.

Obłok był nieoznaczonego kształtu, niby kłębiący się dym ofiarny, z którego wnętrza to błysło nieco jasności, to znów je mglista osłaniała powłoka.

I zaczęło się nieco rozjaśniać w koło mnie, ale ciemność walczyła z tym pro-



mykiem i ściany jej czarne zdawały się  
chcieć go ucisnąć i pochłonać...

Nagle wśród obłoku ukazała się gwiaz-  
da błyszcząca i pokryła wstydliwie chmu-  
rą, i znowu zaświeciła jaśniej, aż nareście  
otworzyły się obsłony, poczęły rozstępować  
ściany ciemności coraz szerzej i z szumem  
zapadała przepaść owa nocna w głębiny  
niezmierzone eterów... obłok jasny rozta-  
czał jak skrzydła obejmując przestrzenie...  
na nim coraz potężniej migotała gwiazda...

I po za nią pokazał się w rozdartym  
otworze błękit niebios i dzień. Obejrzałem  
się do koła z obawą, nogi moje stały na  
niknących ciemnościach, otchłań ciągnęła  
je z sobą, nie mogłem się od niej oder-  
wać, byłem do niej jak wkuty.. Nogi  
moje oblane krwią spętane były i wrosłe,  
a gdy ręce do światła wyciągał, prze-  
paść ciągnęła mnie z sobą, uchodząc.

Wielkim, ostatecznym wysiłkiem oderwałem stopy zbolące od ściany tej czarnej i począłem lecieć ku świecącej gwiazdzie... Ciągnęła mnie ona ku sobie, ale mgła żarów osłoniła do koła, i padłem znękany na miękkim obłoku płacząc jak dziecko.

Łzy moje nie pochodziły ani z bólu zranienia, ani z żadnego uczucia ludzkiego, płakałem bom płakać musiał — jak dziecko — budzące się po śnie twardym... A w piersi pytałem siebie, czego płaczę i nie umiałem odpowiedzieć sobie. Była to wielka płaczu potrzeba, łzy mi ciążyły na czaszce, łzy mi cisnęły piersi, dławiły gardło, a krople ich ciężkie padając jak ołów przedziurawiały obłok pode mną... I ujrzałem przez otwory te w dole w sinych wyziewach... ziemię.

Serce uderzyło mi do niej, do tej kołębki z której już wyrosłem był, w którą

się zmieścić nie mogłem ani myślą, ani sercem, i począłem wspominać dni dawne, płacz ustał.

Alem był smutniejszy teraz.

Oko moje z początku nie rozeznawało nic tylko plamistą powłokę ziemi, błyszczącą, ciemną, poszarpaną, nierówną, pogarbioną i porozcinaną... Ale w miarę jakem patrzył rozszerzała mi się źrenica i powiększały przedmioty, i to co mi się wydało plamką małą jak ziarnko maku poczęło rosnąć, rozwijać się, malować barwami tęczowemi... poznałem kąt mój rodzinny, raczej sercem niż oczyma. Wszystko to, po czem mogłem go rozeznąć, już zmiotł czas, burze i lata, a mimo to czułem, że pod nową skorupą ziemia była ta sama, z której piłem soki żywotne, między którą a mną był tajemniczy związek miłości dziecinnej dla matki.

Przecież nie mi się już tam nie uśmiechało oprócz kilku grobów, na których bujna rosła zieloność. Leżały zapomniane w trawach, a nad trawami brzęczały pszczoły, unosiły się ptaki i świeciło słońce i chmurki latały złociste.

Poszedłem oczyma drogą, jakoś teraz szła ona inaczej niż dawniej; zajrzałem do lasów, pnie sterczały z puszczy tylko... zgruchotała je burza, na łąkach stały wody, na polach rosły chwasty, we wsiach panowała cisza pustkowia, przede dworem czarne zgliszcza i popioły, na miejscu domu kominy okopciałe.

Próżno szukałem ludzi, nie było ich, wymarli.

A ziemia była mimo to świąteczna, wesoła i uśmiechała się do mnie, jak za dawnych lat lepszych... sfinxową swojego spokoju zagadką.

— Co ci jest matko? spytałem.

— Odpoczywam, rzekła cicho, ma przyjść oblubieniec wiek nowy i złotym pługiem zaorze cmentarze i łzami zasieje nowe pola.

Zamilkłem, śmiała się ziemia... potoczyłem oczyma, aby uniknąć widoku tego, a nie miałem gdzie patrzeć, w górze dopiekały blaski olśniewające, z boku stały mgły szare, pode mną tylko otworem przez łzy wydrążonym zieleniała ziemia. Oczy znów powróciły do niej.

I począłem przebiegać wzdłuż i wszerz obszary znane, po których przedeptałem były ścieżki niegdyś za tych szczęśliwszych czasów, gdy jeszcze wierzył w przyszłość. Pustkowie ciągnęło się na wsze strony, miasta w ruinach stały popalone, zawiewał je piasek płaszczem białym; zamki w gruzach sterczały świecąc żebrami nagie-

mi, kościoły po cegle obsypywały się powoli... w pośród ciszy słychać było kamienie staczające się na ziemię, a każdy z nich padając jękiem jakimś niezrozumiałym się odzywał. Niekiedy runął cały szczyt lub wieża, zapadło się sklepienie, tuman pyłu podniósł się do góry i pochwycony z wiatrem poleciał, a stado dzikiego ptactwa przestraszone wleciało krzycząc. I znowu cicho i głucho.

Tu, z szumem i wrzeniem woda wyrывała starą groblę, pieniała się, rozlewała i wylawszy w dolinę usypiała milczącą.

Na zgorzeliskach lasów poczęły puszczać młode latorośle, ale do pni niepodobne swoich... Kto tu przyniósł ich nasienie? nie wiem, chyba wiatry... bo nie były to dzieci porąbanych rodziców, jakieś drzewa nowe, zielone, młode a obce ziemi, z której soki ciągnęły.

Świat widocznie jak wąż zmieniał skórę.

Pusto i pusto było a dziko... aż kędyś na pagórku piaszczystym, na którym leżało kilka kamieni omszonych, niby cmentarnych, poruszyła się widma i wyszły z niej głowy, a potem wysunęły się postacie w całunach białych.

Byli to starcy, z siwemi brodami długimi, bieli jak piasek, z którego wyszli, jak obsłony, w które byli ubrani; stali podparci na kijach i patrzali to na ziemię, to na siebie.

Niekiedy kościstemi palcami trupiemi przetarli sobie oczy zaspane i znowu jakby im nie dowierzając przyglądali się z pagórka ziemicy...

Pod zwieszonemi całunami znać było jak ruszali ramiony, a głowy ich czy ze starości, czy z dziwu wahały się na szyjach chudych jak makowe pąki gdy wiatr

niemi jesienny porusza. Chcieli mówić ale w piersiach zaschłycli brakło im oddechu, a w gardłach głosu i języki im poprzysychały do podniebienia. Stali tak chwilę długą i wciągali powietrze, które ich odżywiało, potem siedli, każdy na swoim kamieniu i dumali.

Jeden chciał wejrzeć na niebo, ale głowy podnieść nie mógł, drugi wyciągnął szyję i broda mu na piersi opadła... trzęśli się jakimś chłodem mogilnym przejęci.

— Wróćmy do grobu, nie ma tu na co patrzeć, rzekł jeden cichutko, poczuwszy że mu usta rozmarzły nieco... Pamiętam gdzie mnie pochowano, ale nie poznaję cmentarza ani okolicy. Wiem że miałem nad sobą grobowiec, wspaniały, który długo wstawałem oglądać nocami dopóki mi się widok jego nie naprzykrzył...



Gdzież się to podziało? drzewa powinny były powyrastać? ani gałęzi.

— Tam stał dwór, szepnął drugi schrypłym głosem, w około był ogród wielki, w ogrodzie staw zwierciadlany, ścieżki sypane żwirem... Żwir o trzy mile wozili z dna rzeki, drzewa sadziłem z pod innego nieba, pałac był z kamienia ciosowego, pod drzwiami mruczała fontanna... w prawo modliła się kaplica... patrzcie bagno i moczary... trzciny i pleśnie.

— Jak się tam ślicznie zataczały kręgi zielonemi lasy, mówił trzeci — gdyby wieńcem obejmowały okolicę a szemrały jej gałęzmi wesoło nad głowami... I pnie nie stało, wgniły się w wydmnę jakąś suchą... Jak zajrzysz ino pustynia...

— Hej! hej, rzekł inny, ja to wiem, może to ziemia ugoruje po jednym pokoleniu na drugie, dzieje się to co trzy wie-

ki... mówiono, co siedem może... Każdy kraj musi tak spustoszyć pod bujny zasiew nowy. Ale kto teraz siać będzie z kolei, Pan Bóg oziminę czy szatany osty? i cozejdzie, czy nasienie Boże, czy ziarno diabelskie?

Westchnęli wszyscy i znowu stare ich głowy na ramionach poczęły się wahać z ramienia na ramię.

Jeden wyciągnął ręką drzącą kij i wskazał na kamień obrosły pleśnią.

— Może i to jakie nasienie przyszłości, rzekł, wszak i z kamieni słońce tworzy istoty żywe.

A drudzy milczeli smutni, i jeden dodał chmurno:

— Z kamieni tworzy istoty żywe, no, a z istot żywych — kamienie.

W tem na horyzoncie na gościńcu pustym ukazał się wielki tuman kurzawy,

i szedł powoli szumiąc, choć wiatru nie było ... Starcy poprzykładali ręce do oczów i patrzali, a nic widzieć nie mogli... i powstawali na drżących nogach stając, aby lepiej zobaczyć, co krył w sobie ten pył idący drogą, ale tajemnica tała się w obsłonach gęstych, których oczy przebić nie mogły... I popatrzali pytając na siebie.

— Bydło idzie, wojsko czy ludzie?

W tem zerwał się wichur i zaszumiał głosem wielkim.

— Przyszłość idzie.

I nastąpiła cisza uroczysta.

Starcy przełękli się głosu, który ich uszy do milczenia nawykłe przeraził, zadrzeli... usta ich pokleily się znowu i pozrastały.

W tem mgła przesunęła się pomiędzy oczyma mojemu a ziemią, i nic nie widziałem przez chwilę tylko niebieskawo-

dym, który się rozwiął... oczy padły na ów pagórek znowu.

Kamienie tylko leżały na nim, starcy przed nadchodzącą przyszłością pochowali się do mogił, ale tuman na rozdrożu jeszcze był większy i pyły z niego opadać zaczynały powoli, a w pośrodku ukazał się niezmierny łańcuch złożony z tłumów nieprzeliczonych ludzi... Zażarta w nim toczyła się walka, szli i zabijali się i gryźli a zjadali, popychał jeden drugiego, dusili się, miotali, naskakiwali sobie na ramiona, gnieli, padali niektórzy i deptali przechodzący po ich głowach, innych ścisk wyduszał do góry i wywracali się nad głowami tłumu, toczyli, spadali, aż rozbitemi trupami zsunęli się na ziemię i znikli.

Walka wrzała zażarta, ale nie tamowała pochodu.

Chorągwie różne wynosili do góry i ledwie je wiatr rozwinał, tysiące pocisków rozdzierało, podarło w szmaty; tylko jedna wielka, biała ze złotym krzyżem szła górą...

A były na innych znaki różne, znaki życia i znaki śmierci, zjednoczenia i rozproszenia, jasności i nocy... Jedne zszyte były ze starych łachmanów, drugie z błyszczących tkanin, inne z pajęczyn snute, inne kute ze stali, żadna przecie nie przetrwała długo, ale skoro jedna nikła, zjawiała się druga... a byli co ręce obcinali tym, którzy je nieśli i chorągwie szły dopóki ich wiatr nie podarł, same...

Pod żadną przecie nie jednoczył się tłum, tylko część jego zbiła się w kupę a druga opasywała ją bojowym łańcuchem, a każdy znak podniesiony do góry był hasłem coraz zaciętszego boju.

I gdy oczy sięgały w dal, aby ujrzeć koniec szeregów... nie doszły ich końca... sięgnęły tylko do widnokregu a i tam gdzie się już zataczała ziemia, niknąc przed wzrokiem moim, gdyby olbrzymi pas szło to mrowie ludzkie, roiło się, biło, postępowało. I gdy już jeden koniec pochodu stał tuż pode mną, ginał drugi na przeciwnem ziemi półkolu.

Na pobojowisku, dziwna rzecz, nie grzebano trupów a nie widać ich było nawet... Ci co polegli, unosili się z uśmiechem na ustach do góry jak lekkie obłoczki i roztapiali się w powietrzu. Czułem po ciepłym oddechu, gdy przesuwali się koło mnie lecąc wyżej.

Ku zachodowi słońca wszystko to padło jak stało taborem niezmiernym na spoczynek, jak i gdzie kto był... Cień zaszedł na ziemię i nie widziałem już nic.

Ale smutno mi było i tęskno na sercu i patrzałem jeszcze w ciemności sine.

Xieźyc czerwony, ogromny wszedł powoli z wyziewów po nad drugi kraniec widnokregu i z ukosa rzucił promieniami długimi na pobożowisko.

W szarych mrokach nic jeszcze rozemnać nie było można, domyślałem się tylko jakiegoś ruchu, ciekawie czekając aż xieźyc podejdzie wyżej i scenę tę oświeci...

Wybił się wreszcie na niebiosą czyste i rozwidniało jak we dnie, tylko światło było inne, zimniejsze, martwe, zielone.

Ludzie z obozu rozpierzchli się i pracowali...

Jak cienie biegali po polach, jedni zakładając podwaliny gmachów nowych, drudzy karczując spalone lasy, inni orząc i zasiewając ugory. Praca ta odbywała się w milczeniu przez sen, jakby bezwiednie;

zdawali się uspieni i posłuszni jakiejś nie swojej woli, a byli poważni jak modlitwa.

I pod ich rękami cudownie rosło wszystko, ziemia poczyniała przybierać postać nową, a zupełnie inną. Z dawnych gruzów nie pozostało nic; gdzie były lasy zasiewano pola, gdzie zarosły darnią zagony zasadzano puszcze; gdzie były dwory, stawały chaty; gdzie nędznych chat sterczały zwaliska, podnosiły się pałace.

A gmachy te nie były wszakże podobne tym, jakieśmy widzieli na ziemi, mrowili się w nich ludzie zajęci robotami różnymi... i nie można było rozeznaczyć pana od sług jego, bo słudzy wyglądali jak panowie, a pan był ich wszystkich sługą...

Z podziwieniem wpatrywałem się w tę zgodną robotę nocną, gdy na widnokręgu powoli różowieć zaczęło, słońce się oznajmywało, a lud jako stał tak padł znużo-



ny na spoczynek...

O brzasku i pierwszej rosie poruszyły się kamienie na pagórku i starcy umarli wyszli z piaszczystej widmy, stanęli znów oparci na kijach, poprzykładali ręce do czoła, patrzali ciekawie.

Znowu swej ziemi poznać nie mogli.

— Patrzaj no, rzekł jeden — kiedyż się to stało? jednej niedospanej nocy? albo wczoraj widzieliśmy źle, albo dziś widzimy nie dobrze? hej! hej to oczy ludzka!

— To są mgły poranku! rzekł drugi.

— To są fantazyje świtania, dodał trzeci.

— To są chyba cuda boże! krzyknął czwarty.

— Nie wierzę, aż się ich dotknę, chrypliwie ozwał się pierwszy. I skwapliwie chciał iść, ale kroki jego były nieśmiałe, nóg zapomniał stawiać i obawiał się sta-

pić, a ci co za nim szli padali.

I co który upadł, to się rozsypał po piasku jak rozerwany rożaniec... odtoczyła się głowa daleko, porwały się ręce na kawałki, połamały nogi... Drudzy je zbierali i składali nieboszczyka i owijali całunem, dawali mu kij w ręce, popychając ażeby dalej stapał, ale i im z kolei szkielet się rozpryskał, gdy go w ruch wprawić chcieli... I miotali się tak bezsilni — a słońce coraz z za mgły się dobywało. Niebo całe było zarumienione jakby pożar gorzał na drugim półsferzu...

Ujęły się trupy za ręce, splotły kośćmi, podparły i szły zwolna... a wiatr którego nie czuć było, miotał nimi jak kartą papieru i z całunami ich szydersko się bawił.

Szli tak, aż przyciągnęli się do jednego gmachu, i pierwszy starzec niecierpliwie

dotknął się ręką, pokiwał głową... Wszyscy za nim poczęli próbować ściany i rzędem z pochylonemi na piersi czaszkami stanęli u muru. Jakiś wielki smutek ich ogarnął.

— Cegły pobrali z grobowców naszych do nowego gmachu! zawołał jeden, wszystko to stare tylko sklezione na nowo.

I powlekli się potem na pole... w polu bujały już rosnące w oczach zboża, chwycili po garści i dziwili się jeszcze bardziej...

— Zkąd siła zbożowa? rzekli, wszak ona tylko z naszych prochów powstać mogła? zkąd ziarno? wszak ziarno wszelkie żsypaliśmy na sen do trumien naszych...?

Słońce wschodziło już i starców ogarnął przestach jakiś wielki, gdy rąbek jego złocisty ukazał się nad horyzontem... ruszyli co prędzej biegnąc do swych mogił, aby się w nich ukryć, ale już było

za późno... popadali i roztrzęśli się, porzucali po kawałeczku, a kości gdy słońce przygrzało rozsypały się w proch... a z miejsc kędy padali opar podniósł się od ziemi ku niebu.

Widok był wspaniały, z wczorajszego pobojuwiska nie pozostało ani śladu, z ruin ani cegły, z pustyni ani jednej wydmy i moczaru, wszystko zieleniło się, bujało śmiało, a ludzi wszędzie było pełno w wielkim ruchu i weselu.

A tłum ten był jako jedna rodzina, bez różnicy ubioru, twarzy i myśli, podawali sobie ręce spotykając się i wdzięcznie uśmiechali do siebie.

Był to ranek nowego wieku.

W tem pomiędzy widokiem tym a mną prześliznęła się chmura gęsta i zakryła mi znów wszystko. Żał mi się zrobiło ziemi, ale wiatr rozpędzał już mgły i znowu

przeświecił mi się kątek naszego padolu...

Nie mogłem objąć wiele, czy byłem bliżej ziemi czy ziemia przybiegła do stęsknionego, ale wielki widnokrąg ograniczał się teraz małym obrazkiem.

Ujrzałem puszcę gęstą skałami poprzerynaną szaremi, drzewa prastare wyrastały jakby z kamieni, korzenie zapuszczały w szczeliny; pnie sosen były jak słupy proste, wzniosłe i w górze tylko ukoronowane zielonem sklepieniem liścia. Na skałach, których ręka ludzka nie potupała, widać było pleśń wiekową, płachtami leżały na nich stare narości mchowe... Pomiedzy niemi z gór sączył się strumień i bełkocąc leciał mętny w dolinę...

Gdzieniegdzie jak kości z mogiły sterzące na pobojuwisku, wybiegała skała do góry łyśsa pnąc się ku niebu, przerastała

ogromne sosny; pięła się wysoko obłysiałym wierzchem, który słońce przepalało.

Miejsce było dzikie, posępne i ciche, tylko drzewa szumiały i strumień bełkotał... I stało mi się dziwnie, że we śnie mógł zrozumieć mowę sosen i mruczenie wód, które na jawie niepojętymi były dla mnie. Sosny spiewały bardzo harmonijnym chórem pieśń wielką; zdało mi się jakbym w nich widział olbrzymów kołyszących wnuki w kolebkach...

— Mrowię przechodzi i ginie, depcą je nogi, splukują wody, unoszą burze... z żywota garść kału, z garści kału żywot nowy... nie płaczcie, nie płaczcie dzieci...

Wielki świat, piękne morze, lazuruje góry, ale noc wszystko zaćmi i zginie wszystko... a słońce wniwdzie i wszystko odrodzi.

A strumień mruczał...

— Co mi po wieczności? wiecznie płynąć i wiecznie się rozbijać i zawsze być pochłoniętym... Ja chcę stać i błyszczeć..

A sosny szumiały...

— Staniesz i będziesz błotem i trzęsawiskiem, a słońce cię wysusze... szaleńcze! a nuże, do morza, a nuże!

— Wy stoicie zawsze, ja lecę wiecznie.

— I my runiemy... patrzymy tylko, aliści nadejdzie burza co spać położy i gnić każe...

— O! zgnoję was z rozkoszą... mruczał potok... stare trupy co mi się nagrawacie swoim spokojem...

A sosny wciąż szumiały jedno:

— I zginie wszystko i wszystko się odrodzi...

Aż ucichły powoli... co raz ciszej sze-

pcąc, potok umilkł także, nie rozumiałem ich już, bo wyszedł człowiek na skałę i siadł na niej. Twarz miał mi znajomą od kilku tysięcy lat, widziałem ją pożyczaną z teatralnej garderoby ludzkości przez wielu biednych ludzi... Była to zawsze taż sama maska blada, żółta; oczy wpadłe, skroń wyschła, wypukłe czoło...

W piersi człowieka gotowało się, wrzało, kipiało jak w kotle, chwycił za nią ciągle, to brał za czoło, które gorzało także, a czaszka mu parowała jak rozpalone żelazo. Siadłszy począł mówić na przekorę drzewom.

— Głupi świat... Szyderstwem człowiek, co miał być jego koroną... męka tylko i zawody na każdym kroku... o kamienie rozbijają się nogi, o chmury roztrącają się czoła, o ludzi kaleczą się piersi, gawiedź ściska ci ręce... po co żyć? Uśmiechnął się... Głupie życie, co jest



prawdą a co fałszem? dziś to a jutro drugie. Obudziłem się zwierzęciem, wyrosłem na anioła, dojrzałem na człowieka, zestarzałem na diabła, a sakwy podróżne puste i pierś niesyta, jeść nie ma co... otręby... A jednak... jednak coś żyje we mnie z czem świat nie w zgodzie, czemu świata za mało, coś co się rwie dalej, wyżej... czemu tu tęskno?... Nie mam może duszy a czuję się Bogiem, nędzny jestem a wiem, że silny; wszystkiemu zaprzeczył choć wiem że mi w coś wierzyć potrzeba; kto mi powie, komu... i czemu?... Ja chcę cudu... niech się stanie cud...

Pomilczał, posłuchał i znowu począł się dręczyć.

— Gdy ciało umrze, dusza uleci i zapomni, czego się w niem uczyła, po cóż się uczyć? po co cierpieć? a jeśli będzie pamiętać wszystko, po co wstyd ma za

sobą wlec niezmazany?

Siedział i rzucał wyrazami jak kamieniami na wodę, leciały one, marszczyły powierzchnię i tonęły w głębinach. Gdy podniósł głowę na przeciwnej skale ujrzał jakby odbitą w zwierciadle postać własną, ale uśmiechniętą dobrodusznie i szydersko... wpatrzył się w nią długo...

— Coś ty za jeden? zapytał.

— Jam nicość, a ty? rzekł duch..

— Jam zgnilizna...

— Podobni jesteśmy do siebie.

— Po co ty mi urągasz?

— Dla czego szydzisz ze mnie?

— Jesteś złudzeniem...

— Jesteś marą...

— Odstap!..

— Idź precz...

I zadrzał człowiek i począł płakać, a duch się uśmiechał...

— Chory jesteś, rzekł...

— Nie jam chory, odparł człowiek, ale świat jest opętany, głupi, niepojęty.

— Cóż się stało na świecie, jedno słońce zaszło i jedna nowa wschodzi jutrzeńka.

— A ze słońcem zgasła prawda... a z jutrzeńką wschodzi nowy fałsz... I nie wiem już, co fałszem jest a co prawdą, i nie wierzę w nic a rozpacz przywodzi mnie do szaleństwa... Patrzaj na zgliszcza, groby, ruiny, słuchaj krzyków, policz trupy, i przypatrz się kto zwyciężył... a nie będziesz mnie pytać... Nie widzę Boga...

— Powinieneś go czuć.

— Nie czuję go...

— Powinieneś weń wierzyć...

— Nie wierzę w niego...

— Trupem jesteś, połóż się w mogiłę i spij, wstaniesz za tysiąc lat rzeźwiejszym...

— Więc cóż jest prawdą? sen czy życie?

— I sen i życie i wszystko... prawdą jest — jutro, odparł duch. Ty czynisz jako ludzie złej wiary czynić zwykli, którzy z wielkiego dzieła wystrzygają paradox i rzucają nim w głowę pisarzowi... czytaj-że, sięgę do końca...

— Nie stanie życia...

— Załóż sięgę gdzieś przestał i oddaj ją następnemu pokoleniu, ono znajdzie zagadkę sięgi żywota.

— A ja? spytał człowiek.

— Dla czego ty! czemu ty sam masz dojść do ziemi obiecanej prawdy? Wstąp na wyżynę a ujrzysz ją, ale nie dosięgniesz jej, boś zwątpił o Bogu.

— Nie widzę jej z wyżyny! tęsknie płakał człowiek...

— Powinieneś ją czuć...

— Nie czuję...

— Powinieneś w nią wierzyć...

— Nie wierzę...

— Trupem jesteś powtórzył duch znowu i zamilkł.

A potem mówił powoli.

— Dla czego nie mogąc doczekać jutra nie zajrzysz do wczora? Z końca w koniec przez tę xieęgę wije się myśl jedna, nie doczytasz ostatka, zwróć się do początku... Jestli tam co innego nad to co było wczoraj i co będzie jutro, zawsze jedno i niezmiennie?

Czemu nie płakałeś nad Rzymem, gdy się padać zdawał mając się odrodzić? czemu nie rozpaczałeś nad Kartagą i nad Troją? Przecież z gruzów wyniesione Bogi, i wyszli starce i wybiegły dzieci, przeszłość i przyszłość, wspomnienia i nadzieje... przecież z mogił powstawały trupy, z ruin grody... a nic nie umarło...

I znikł duch, a człowiek obejrzał się

i zatęsknił za nim choć go męczył... kroplami pot krwawy padał mu z czoła, łzy się mieszały z posoką i ze skały toczyły się zwolna w dół mętne. Ptaszki leśne przyleciały i śpiewając piły je i szczebiocząc... a trzepotały skrzydełkami z radości nad pokarmem i napojem.

Bolejący człowiek myślał, czy prawdą były jego boleści czy ich wesele...

Z wierzchołka skały po nad lasy i góry widać było daleko... cały świata szmat spalony na węgiel... ale na popieliskach już poczynąły zielenieć trawy na miejscu kilkuset zwałonych sosen, miliony listków porastającej darniny.

Obłok przeszedł znów pode mną, znużony patrzałem już nie widząc, nie myśląc co się stanie z człowiekiem, którego z oczów straciłem niewiedzieć jak i kiedy... Litowałem się nad nim jak senny,

roztargniony, serce mi doń nie biło.

Chmura na której spoczywałem zmieniła się w zimne marmurowe wschody jakiegoś niezmiernego gmachu, w którego głębinach, słupach, sklepieniach, krużgankach i portykach ginał wzrok, niemożąc ich końca doścignąć.

Był to jakby ul olbrzymi z niepoliczonymi we wnętrznościach komórkami... Na próżno pragnąłem zatrzymać się, aby go obejrzeć, siła jakaś gnała i pchała mnie w dół i leciałem co raz szybciej, aż ostatniego dosięgnąwszy stopnia zleciałem na ziemię.

Lżej mi było, bo mi się zdało, że sen się skończył i że w ostatku dotknąłem rzeczywistości... padłem na murawę chcąc odpocząć sobie. Trawa była zielona i miękka, powietrze świeże i ożywiające, sen począł mi kleić powieki, ale w tem spo-

strzegłem przy sobie jednego z owych starców w całunie, którzy się w mych oczach w proch rozsypali i rozwiali we mgłę. Budził mnie uśmiechnięty, odmłodzony, wesoły...

Byłbym go nie poznał może, ale całun zarzucony miał na plecy i obwinięty nakształt pleca a kijem zakrzywionym wywijał... choć obojga już zdawał się nie potrzebować wcale.

— Chodź i patrz, zawołał, odżyliśmy — my — cośmy byli pomarli i zginęli — aleśmy silniejsi wskrzeszeni, bośmy zrozumieli śmierć i życie. W mogile także uczy się człowiek bardzo wiele... Nie poznajesz że tego kraju? patrz, ten sam jest... ale piękniejszy, nawet groby nasze stanęły na nowo... i, o dziwo! modlą się u nich ci, co je burzyli!

Wszystek strach życia jest próżny i



wszystek strach śmierci dziecinny... Sen i jawa, śmierć i życie, jedno jest, tylko w innych rozmiarach... Nie lękaj się, wstań a idź.

Chciałem wstać, ale nie mogłem, a wstyd mi było, bo do koła przy starcu zjawiały się coraz nowe twarze, nowi przybysze z tamtego świata dobrze znajomi, oddawna pomarli lub przynajmniej za umarłych mianni... Wszyscy widocznie śmieli się ze mnie... usta moje krzywiły się przez grzeczność do uśmiechu niemożliwego dla nich, ale na sercu było mi ciężko.

— Co ci to jest? spytała matka powoli podając mi rękę — to wszystko snem było tylko — spałeś niespokojnie, krew ci stapała po piersi, dusiła cię falami. Wstań, patrz... oto kolebka twoja, oto muślinowe z zielonem jej obsłonki, oto śniadanie gotowe w sali i dzień wiosenny

na przechadzkę woła, jodły ogrodu szumią nad rydzami, które się w nocy urodziły a wieczorem zjedzą...

---

W istocie przebudziłem się w tej chwili, pod oknami piechota saska grała mi marsza idąc z jednego obwachtu na drugi... poznałem w nim pocziwego staruszka Dotzaura... U drzwi poliycant dzwonił natarczywie się dobijając z kartą pod pieczęcią, wzywającą na pół do dwunastej do bióra pana dyrektora...

Uśmiechająca się zwycięzko twarz z wąsikami blond dobrze znana komisarza opiekuna obcych, przesuwała się ulicą...

Oczewiście marzenia się rozwiały... sen skończył. Byłem znów w Dreźnie.

Dnia 5 Września 1864.

Dnia 14 Października 1865.



## VI.

Najpospolitszym tematem narzekań człowieka jest świat i ludzie; zacząwszy od biblii aż do Hejnego nie żałowano szyderstw, obelg i przymówek, nie poprawiono ich jednak wcale. Każdy wiek głosi się najnieszczęśliwszym, chociaż z dziejów widzimy, że ludzkość ku gorszemu nie idzie. Ale życie jest walką, a choć bój zwycięski, są chwile w nim do przetrwania ciężkie, tak że zwycięzcy nawet jęknąć muszą. Im dalej w lata, tem się cierpliwiej spogląda na bieg rzeczy ludzkich, na własne i cudze bole i jak Bóg *patiens quia aeternus*, tak człowiek się staje *patiens*

*quia mortalis*. Powiada sobie: umrę jutro, coż znaczy chwila do przetrwania tak niedługa? W młodości burzym się na świat, bo jeszcze dużo z nim mamy do przeżycia, starsi patrzym spokojnie — jutro grób ciężkie zamknie zawody.

Z żalów i narzekań oklepanych potrzeba wszakże wyłączyć te głosy protestacyj surowych, które z piersi dobywa widok korzeniącego się fałszu, pokłony bałwanom zwodniczym... Są to okrzyki oznajmujące o niebezpieczeństwie. Wydają je sternicy postrzegłszy skały, o które łódź wioząca więcej niż Cezara, bo przyszłość ludzkości — rozbić się może. Ale — *vox clamantis in deserto*.

Zawsze to historia Kassandry, zawsze ostrzeżenia próżne, a duch zmusza wołać choć w pustyni i głosić prawdę nawet przed głuchymi.

Wiek nasz z wielu względów nie jest gorszy od swych starszych braci, ma wiele dobrego w sobie, ale przy wcale znośnym charakterze zbywa mu na powadze, na wzniosłości, na duchu bożym, na natchnieniu, na tem co danem bywa tylko epokom wielkim prawdziwie. Jest to mąż rządny, chłodny i mający to przekonanie, że wybacza wiele historya i Bóg tym, co rachunki i kasę trzymali w porządku a nie chorowali na utopie i zachwyty. Moralność jest dlań rzeczą względną, dobro rzeczą względną, obowiązki o tyle go obowiązują, o ile są mu wygodne... główną maxymą *prima charitas ab ego*. Z policyą poprawczą nie lubi mieć do czynienia, ale z poezyą także, poezyą zaś zowie się dlań czego obliczyć nie można, zacyfrować i co nie daje procentu. Zresztą czyni dobrze gdy go to nic nie kosztuje, litość z Emer-

sonem uważa za trochę słabości niedogodnej w życiu, strzeże się porywów uczucia i ceni najwyżej porządek, logikę, rzeczywistość. Ani wielkich zbrodni ani cnót nadzwyczajnych spodziewać się po nim nie można ; pierwsze i drugie, wedle charakterystycznego wyrażenia — nie opłacają się. Cokolwiek się zaś nie opłaca jest złe. Rzecz co się nie opłaca jest siłą straconą marnie, a wszelka siła *is money*, a wszelki pieniądz to złoty cielec wieku.

Pieniądz — wyrzekliśmy może słowo, które jest wyrazem całej epoki, ale bez intencji deklamowania i opłakiwania. *Auri sacra fames* nie od dziś się poczęła i nie jutro się skończy. Była ona w ludziach zawsze, ale nigdy się do niej nie przyznawało społeczeństwo całe, dziś ta jest wielka różnica, że świat nie zapiera się bynajmniej czci swej dla złotego cielca, wyro-

zumował ją, usprawiedliwił ją chłodno i nie kryje się z nią wcale. Pieniądzowi przyznano siłę, znaczenie symboliczne, świętość mistyczną, oczyszczono go, obalono przesady dawniejsze co do jego niegodziwości i podłości. Pieniądz jest zrehabilitowany najzupełniej. To jeszcze nic, ale obok niego zmałało wszystko, duch wszedł cały w tę sztukę złota lub kawałek papieru — indziej go nie uznają i nie szukają.

Dla czego? pieniądz dla ekonomistów reprezentuje pracę, dla ludzi wieku użycie, dziś to używanie stanowi wszystko, po za życiem niepewność, po za grobem nicość i milczenie, więc tu potrzeba używać i mieć za co.

Tajemnicą wieku nie tyle jest grosz, co idea, którą on reprezentuje ostatecznie — summa najwyższa przyjemności życia.

Wyszło to logicznie z pozbycia się sta-

rych przesądów o nieśmiertelności, zaświe-  
cie itp. Nie mamy jutra, musimy korzy-  
stać z dnia dzisiejszego. Filozofia pozyty-  
wna nie dopuszcza żadnych złudzeń, z fi-  
lozofii tej część dla grosza płynie bardzo  
prosto i koniecznie. Wszystkie czyny wie-  
ku, życie prywatne i sprawy publiczne  
tłumaczą cię tem jednym — nie mamy  
przyszłości, nie mamy wiary i przekonań  
żadnych.

Świat się tedy urobił stosownie do no-  
wej idei, która mu zapanowała. Wprawdzie  
nie przyznaje się jeszcze do tego, żeby w  
nic nie wierzył, ale milczy gdy o tem  
mowa, lub rzuca *peut-être*. Z rachunku  
prawdopodobieństw wynika, że może tam  
coś być, ale mogłoby i nic nie być. Więc  
nie trzeba się mitrężyć tem X, które musi  
być w ostatku  $\equiv 0$ .

W charakterystyce wieku i ludzi to



stanowi główną oś, na której obraca się świat, czy do niej przyznać się chce czy nie.

Wiara tworzy żywot pojedynczy i żywot społeczny.

Zaszliśmy tak daleko, że o chrześcijaństwie mowy nie ma, a cóż dopiero o kościele i kościołach różnych, o wyznaniach odmiennych! Dziwować się jeszcze należy, że nie jesteśmy gorsi daleko, że same tylko potrzeby dnia dzisiejszego i bytu materialnego w tak przyzwoitych karbach utrzymać nas mogą...

Z tego zarysu wieku przejdźmy na chwilę do charakteru ludzi, z których się on składa.

---

Człowieka i ludzi naszych czasów znaleźć nie jest trudno, typ epoki napotyka

się wszędzie — o męża wielkiego trudno, wielkich mężów braknie.

Może ich niedostatek stanowi także jeden z charakterów wieku. Bez różnicy krajów, bezstronnem okiem przebieżmy ostatnie lat dziesiątki i zastanówmy się nad osobistościami najwydatniejszymi, począwszy od Napoleona III do Cavoura, od Palmerstona i Cobdena, od wielkich pisarzy do wielkich myślicieli, od Emersona do W. Hugo, do Lamartina, od Hejnego do Słowackiego itd. Talentów nie brak we wszystkich sferach, ale epoka pokrajała je do swej miary... żaden głową i wzrostem nie przechodzi pierwszego szeregu grenadyerów... wszyscy mają jedną cechę, są to talenta negatywne, przeczące, obalające, walczące, a nie twórcze i spokojne. Zarzucicie mi, że Napoleon III stworzył cesarstwo, a Cavour Włochy... poczekaj-

cie... gruzy widzę, gmachu jeszcze nie dostrzegam.

Są to bez wyjątku ludzie znakomici ale maleńcy, zręczni dla siebie szczególnie, zręczni w prowadzeniu sprawy, którą przedstawiają, ale nie mający ani głębokich, jasnych przekonań, ani tej podniosłości ducha, jaką one dają.

Dużo sprytu...

Wyrazem, zadaniem, formą ich pracy jest — zręczność, przebiegłość, rachuba, zimny lik... osiągają cel nie potęgą siły ale umiejętnością drobnostkową... Nigdzie nie znajdziecie takiej postaci czystej a wielkiej coby górowała nad innemi i zmuszała do poszanowania nieprzyjaciół nawet.

Gra wieku idzie zabiegliwie, powolnie, ostrożnie, oglądając się na wsze strony; ludzie co ją prowadzą przede wszystkim bojaźliwi i rozważni. Czy te zbytki ostro-

żności przyspieszają pracę, czy zapewniają skutek, rzeczą jest bardzo wątpliwą, dowodzą tylko że się ludzkość nie jeden raz sparzyła i dobrze o tem pamięta.

W ogóle wielcy ludzie naszego czasu doskonale wiedzą, czego nie trzeba robić, nie będąc pewni co mianowicie czynić należy.

Wpatrując się w nich baczniej, więcej znajdziemy obawy niż zapędu, nawet dzisiejsze zasady moralności raczej są negatywne niż dodatnie, pewni jesteśmy czego się chronić, ale nie o co ubiegać.

W polityce, w sztuce, w literaturze wszystko jest względne, absolutnych prawd nigdzie, okoliczności rządzą zasadami, nie zasady okolicznościami. Poezya narzeka pięknie, nie pociesza, nie prowadzi i wszyscy jak w przededniu przyjscia wielkiej idei wyczekują, patrzą, strachają się ja-

kiegoś upadku. W literaturze najsilniej, najjaśniej wychodzi krytyka życia a nie jego zadanie; najwięksi poeci wieku są gorączkowi i chorobliwi; spokoju i powagi nigdzie.

W sztuce naśladowania wszystkich epok i rodzajów z obojętnością dowodzącą, że wszelkie są nam równie miłe, bo swojego nie mamy; w polityce cześć dla Macchia-wela, apoteozy Ludwików XI i Iwanów Groźnych, Cromwellów i Ludwików XIV, apologie Robespiera i elegie po obywatelu Capecie ściętym za wyrokiem obszar-pańców. Fakt spełniony zostaje świętym... Rozumiemy wszystko i wszystkich, naj-cnotliwszych i najwystępniejszych, ale pewne współczucie ciągnie ku uniewinnieniu tego, co dotąd uchodziło za zbrodnię, za śmieszność, za wadę...

W dziejach naprawujemy wykrzywione

fizyognomie nie przez miłość ludzkości, ale z tajemnego poczucia, że i nasze nie są bardzo proste, że i one kiedyś tej operacyi ortopedycznej potrzebować będą. Natomiast wielkie a jasne postacie przykrawujemy po trosze do naszego drobnego wzrostu.

Jednego roku podobno wyszło życie Jezusa Renana i żywot Robospiera, z Boga zrobiono prostego człowieka, z szaleńca chciano stworzyć czystego bohatera.

W takim kierunku myśl idzie — obalić co zbyt wzrosłe, podnieść co nieznaczące... równość w mierności, realizm... śmierć ideałom. <sup>1)</sup>

Mężów wielkiego poświęcenia, głosicieli prawdy, obrońców zasad nieśmiertelnych szukać byłoby próżnem, nie znajdziemy ich... Natomiast tych co poświę-

---

<sup>1)</sup> „Precz z marzeniami! “

cenie uważają za rodzaj szalu, prawdę za paradox, a zasady za ogólniki nie obowiązujące, tylko o tyle o ile... mrówie...

Moralny upadek jednostek i społeczeństwa jest aż nadto widoczny... Wiekowi tchu w duszy braknie. Miałaby się wyczerpnąć ten, który wionął na ludzkość przed tysiąc ośmset latami? Nie, ale naczyniom pokruszonym i słabym dźwigać go było ciężko... Nie dajemy mu się ująć, postawiliśmy przeciw niemu zapory wszelkie, aby na nas silnie działać nie mógł. Nie nowej nauki nam potrzeba; bo prawda jest wiekuiście jedną, ale nowych serc do przyjęcia starej.

W najczystszych charakterach naszej epoki jeśli nie ma plamy, są przynajmniej występne pobłażania, zobojętnienie, otretywiałość, wymawiamy wszelkie słabości, bośmy słabi wszyscy.

---

Charakter ludzi naszej epoki nie jest wszakże nowością, w dziejach dopatrzymy łatwo okresy, w których ludzkość chorowała jak dzisiaj na ową moralną apatię i potrzebę wypoczynku, ugorowania bądź co bądź, w których nie roznamiętniała się do niczego, tłumaczyła sobie wszystko i zeszklonem okiem patrzała w przyszłość nie umiejąc jej odgadnąć. Wedle ogólnego prawa po takich chwilach wycieńczenia następują zawsze jaśniejsze, wybuchające nowem, wypoczętem życiem...

Seneka, nauczyciel i dworak Nerona, schodzi się ze Ś. Pawłem. Rozumie on już i przeczuwa prawdę ale czeka, aby ją kto inny w czyn wprowadził i dogodniej mu nie być apostołem, choćby przyszło umierać krew wytoczywszy... ale bez boleści.

Śmierć to dalszy ciąg snu żywota bez burzy...



Prawda nie zdobywa się inaczej jak walką i poświęceniem, często na bój sił nie czuje, choć uznaje prawdę...

Nigdy może ludzie jaśniej nie widzieli co jest fałszem a co prawdą, jak dzisiaj, ale nigdy do walczenia za prawdę mniej nie było ochotników. Obraz wieku przedstawia w pewnych warstwach uderzającą sprzeczność teoryj całkowicie nie obowiązujących w życiu. Nawet gdy rozum doskonale widzi, gdzie iść należy, aby nie zbłądzić, unika drogi trudnej z obojętnością niepojętą. Braknie pobudki do usłuchania rozumu, bo rozum sam, bez wiary, bez zapału, bez uczucia, które by się do jego wozu zaprzęgå, nie jest zdolny pokierować życiem.

Tych nam znowu braknie.

Dlatego niezmiernie często spotykamy

dziś ludzi wykształconych, rozumnych, jasnowidzących i cele i środki, a idących wstecz od celu i lekceważących drogi, jakimi się kierują.

Rzekłbyś, że nie idą do świątyni, ale na przechadzkę, ścieżką, którą wybiera fantazya.

W sprawach, które dawnym językiem zwano doczesnemi, gdzie się tyczy dobrego bytu, spokoju, zysków wszelkich, dobór dróg jest nader staranny; w rzeczy przekonania, w doścignieniu wielkich moralnych zadań to się tylko czyni, co nie kosztuje.

Smutny to obraz — ale niestety! nieprzesadzony!

---

Wielkich spekulantów, polityków, poetów mamy dosyć jak na naszą małą

epokę, wielkiego człowieka ani jednego.

Gdybyśmy chcieli do tego wykształcenia przywiązać znaczenie tylko czasowe i rozumieć przez wielkiego męża tego, co najlepiej swą epokę przedstawia, nie zabrakłoby nam reprezentantów wieku, ale wielcy mężowie nie są typami górującymi w danej chwili, ani uosobieniami momentu, ale sternikami lepszej przyszłości.

Wielki mąż uosabia wprawdzie czas swój, pojmuje go, wyraża sobą, ale obliczem zwrócony jest ku przyszłości, jedną stopą jej dotyka. Siłą asymilacyi zrasta się z ludźmi współczesnemi, ale drugim jej biegunem ciągnie ich w dalszą drogę postępu. Widzi on jaśniej lub czuje mocniej co czynić potrzeba, gdzie iść, aby się nie cofać. Opatrzność daje mu rozum, wiarę lub tylko potężny instynkt. Bardzo wielu bohaterów (większa ich część podobno)

wiedziona była tą gwiazdą przewodnią instynktu, bez wyraźnej wiedzy własnego czynu... Często im samym znaczenie roli, jaką odgrywali nie od razu objawiło się jasno; w miarę jak szli, rozszerzał się horyzont, rozstępowała droga, widoczniej co raz występował cel. Ta jest różnica wielkich ludzi, co mieli posłannictwo natchnione, od tych, co je sobie sami nadali, że pierwszemi wiodła siła ducha olbrzymia prawie mimowiednie, drudzy pracowali z wiedzą i przekonaniem... Nie ujmujemy obu rodzajom wodzów, stworzonym do epok różnych, choć działania ich są bardzo różne i może nierówne zasługi — ale przyznajmy, że ci, których pędziło uczucie, szli śmieiej, pewniej, prędzej. Nie jest to z naszej strony ujmą rozumowi, zarzutem przeciwko niemu, cenim tę władzę wielce, ale nie uznajemy jej za jedyną przewo-

dniczkę, za materyał wyłączny do stworzenia wielkiego człowieka.

Mąż przedstawiciel wieku musi mieć coś więcej nad chłodny i potężny rozum, musi mieć jasnowidzenie przyszłości, którego sam rozum nie daje, musi posiadać uczucie potężne i wiarę niezłomną w pewne zasady i prawdy, które rozum nawet najzdrowszy często próbując swych sił tylko nadwiera. Rozum największy jest z natury swej negacyjny, jest siłą ujemną, krytyczną, nie pcha on do czynu, raczej wstrzymuje od niego, a wielki mąż musi być mężem czynu. Otóż dla czego nie mamy istotnie wielkich ludzi; są znakomitości, ale to słupy co podtrzymują od upadku gmachy, a nie ogniste kolumny, przodkujące idącym przez pustynię.

Stoimy rozumni, chłodni, baczni, obrażeni, czyn wszelki nas przestrasza, cze-

kamy, aby go los opatrność, Bóg, fatalność dokonała za nas, lękamy się ręką dotknąć tego, co nas okala... Takie mamy straszliwej ruiny przeczucie, a tak mało wiary w nową budowę. Jest cechą chwil upadku ta bezwładność, w której pierwsza lepsza siła zwierzęca, śmielsza choć bezrozumna przychodzi jako bicz boży, zwycięża, obala, ścieląc przyszłym wiekom z gruzowisk szosową drogę.

---

Przegląd charakterów we wszystkich sferach życia napęlnia litością i wstydem, najczystsze są błędami cieniami bez władzy... Coż mówić o innych?

Nie jestże i to znaczącem, że wiek nasz gardzi i poniewiera wszystkim, co

z ducha płynie? Coż dziś kogo obchodzi literatura, poezya, sztuka, historia, filozofia? Z gorączkowego niemi zajęcia przeszliśmy do pobłażliwej nad tą robotą liłości. Książki dziś znowu uważają się niemal za czcza, zabawkę, trzeba też rzecz prawdę, że większa ich część pisze się zupełnie tak, jak na teatrze akrobaci przewracają koziołki — dla chleba i dla chluby, nie z przekonania i dusznego nacisku.

Po tych walkach o szkoły, o zasady, o prawdy nowe, które roznamiętniały młodzież i nieraz za plac boju obierały teatru, gdy grano np. Wiktora Hugo — największe wysiłki oryginalności, najśmielsze pomysły, najhałaśliwsze popisy, najwyszukańsze nowostki nie robią żadnego skutku. Książki gwałtownie popychane reklamami sprzedają się, czytują, ale nie rozpłomieniają nikogo. Życie przelało się w burzę...

Od wychowania nie wymagamy aby nam urobiło człowieka, od razu chcemy, aby nam dało kowala, slusarza, inżyniera, praktyczną jednostkę, coby patrzała w jedną stronę i szła statecznie jedną drogą wiodącą ją i społeczność do zwiększenia swego bogactwa; od wielkich bohaterów — *Deus avertat!*

Bez szyderstwa, gdyby dziś narodził się posłannik boży, głosiciel nowej prawdy, zesłanoby go do Cajenne, jeśli nie gorzej. Towarzystwo tak dalece pokój swój ceni, żeby go za żadną najnieśmiertelniejszą prawdę nie oddało.

Jak pragniono we Francyi nowości przed niewielą laty, tak się jej dziś boją — konserwatyzm na porządku dziennym. Formułą jego: każdy u siebie, każdy dla siebie — utopie zbrodniami. Nad tośmy starzy, byśmy się w nie bawić mieli.



Naturalnie wszystko karleje, drobnieje, urabia się do proporcji tej potrzeby spoczynku... nie wolno robić hałasu... świat spi! cicho! sza!

Po Byronie a choćby Walter Skocie w Anglii Dickensy i Thakereye, we Francyi śmielsze umysły, Wiktor Hugo na wygnaniu, Lamartine spowszedniałym żebrakiem, w ich miejscu About, Sardou, Assolant i Comp... w Niemczech po Hejnem i Börnem... elegancki, rozsądny, pełen artyzmu Freytag... Tak wszędzie. Rzemiosło pisarskie kwitnie, mężów wielkiego ducha i tu mało... Schiller i Goethe pojmują się w przeszłości, ale proszę im miejsce znaleźć w teraźniejszym świecie! Skandalem by byli, jak mówią Niemcy.

Schiller bez pasportu nie wymieszkałby w Blasewitz nawet za poręką przyjaciela, a policya saska złemby pewnie patrzyła okiem na autora rozbójników i odmówiła aufenthaltkarty.

Tam gdzie dziś pamiątkowe dla niego pokładzono napisy i kamienie, gdzie postawiono posągi, żywy autor *in persona* usiedziećby nie mógł bez pozwolenia Directorium i wyczekiwań po przedpokojach tych, których władza daje lub odmawia pozwolenia oddychania saskiem powietrzem... bez legitymacyi. Wszystko jest dziś tak uporządkowane na tym świecie, że fantazyi Jean-Paula, że humorowi Hejnego nie dającym się rozklasyfikować i wmieścić w jedną z przeznaczonych na kategorie życia szufladek — trzeba, by iść na wygnanie.

Święty spokój jest, jak tu mówią, pierwszym obowiązkiem obywatela, a że

jenjusz są z natury swej niespokojne, nie ma na nie miejsca w społeczeństwie. Nie rodzą się też wcale.

Inteligencye przykroili się do ducha i potrzeby wieków, nie wybiegają zbyt w górę, starają utrzymać stopami na rzeczywistości, choćby je skrzydła porywały ku niebiosom.

Rola wielkiego myśliciela i pisarza byłaby w istocie bardzo trudną, w jakimkolwiek występowałby charakterze. Zbyt żywo postępowy skrzepowanyby został powszechną spokojną potrzebą, obawą o jego naruszenie; zachowawczy podałby się w podejrzenie, że go ktoś przekupił...

Ale do czegożby dziś zdał się wielki człowiek, gdy wszyscy niemal są tak wiel-

cy, że oprócz siebie nic na świecie nie widzą...

Żołnierzy nie ma dla wodzów, — ktoż się dziś podda kierunkowi, uzna powagę, oceni wyższość? wzrosliśmy tak wszyscy, jeśli nie w rozumy, to w pychę, że w nic prócz siebie nie wierzym...

Wielki mąż byłby anomalią w wieku wielkich ludzi... a z tych właśnie składa się dzisiejsze społeczeństwo.

Mniemane geniusze tysiącami chodzą po ulicach... brak im tylko dobrej woli, aby z siebie dobyły siłę i pokazały ją światu, który może oglądać jej nie wart.

Jeśli gdzie, to na tak nazwanem polu piśmiennictwa... olbrzymów miliony! Nie ma nikogo, co się trochę poduczył i pióro zatemperowane spróbował na ćwiartce papieru... żeby całe życie potem z niewidomym wieńcem laurowym lub koroną mę-

czeńską na skroni się nie nosił... W towarzystwie czujesz jak od nich promienieje ta duma... jak nią zabijają co spotkają... boć oni tylko są panami przyszłości, gdyby chcieli! Uśmiech szyderstwa ich karczuje lasy! wytrzebia pustkowia... rodzi *in spe* nowe światy... gdyby tylko chcieli!..

Ale o tych wielkich ludziach, których mamy do zbytku, inną razą.

Wrzesień 1864.

Paźdz. 1865.





## VII.

(List do Autora)

Drezno Lipiec 1861.

„Byłem po razy kilka kołacząc i dzwoniąc do szklanych drzwi na *Augustusstrasse*, nadaremnie, nielitościwe te podwoje otworzyć mi się nie chciały... Mo-  
żem nie wiedział czarodziejskiego „Se z a-  
mie öffn' dich“ czy tak nieszczęśliwie  
trafiałem zawsze; to pewna, że zrozpaczy-  
łem już, bym pana widzieć mógł i pomó-  
wić z nim, a jest tego pilna potrzeba...

Szerzy się po mieście niepokojąca ja-  
kaś pogłoska w kołach tutejszego towa-  
rzystwa polskiego, że pan piszesz i wyda-

jesz jakieś... Drezdeńskie wieczory?. Miałooby to być prawdą?— Nie wiem dlaczego, zkaąd, jaką wiedzą czy przeczuciem wieczorom tym, zapewne nikomu jeszcze nieznanym, przypisują już cel, mówią o ich treści...

Trochę, prawdę powiedziawszy, na zło dzieju czapka gore, może się coś w Dreźnie po troszę nabroilo tu i owdzie, strach tedy, abyś pan tych bredni drezdeńskich nie myślał opisywać...

Napróżno tłumaczyłem niespokojnym, że nigdy pana na uczynku osobistości od lat trzydziestu kilku nie złapał, że nawet... to co się tam w tem Dreźnie działo i dzieje wcale nie zasługuje na monografią żadną — upierano się koniecznie, że pan chcesz być bocianem...

Byli tacy, którzy się odgrażali już nawet, że choć bocian u nas jak ibisy w Egip-



cie szanowany był, gotowi doń strzelać...

Przejęty tem wszystkiem razem, chciałem się z ust jego dowiedzieć prawdy... A ponieważ niedopuszczony zostałem do audyencyi, a w *Grossergarten* także przy muzyce próżno go szukam, ośmielam się trudzić niniejszym listem, prosząc o kategoryczną odpowiedź:

1<sup>o</sup> czy będą na świecie jakie Wieczory drezdeńskie?

2<sup>o</sup> A jeśliby na świat wyjść miały, czy społeczeństwo nasze w Dreźnie, ma im materyału dostarczyć.

Jeśliby na drugie pytanie potwierdzająca odpowiedź wypadła, mam sobie za obowiązek zwrócić uwagę pańską, że... dalipan nie ma o czem pisać...

Co wyraziwszy piszę się i t. d“

Z.

Drezno. Lipiec 1865.

Szanowny panie!

Odbieram list pański i czytając go ruszam ramionami... krew mi do twarzy bije, powiem prawdę, gniewam się.

Nie na pana jednakże, który w prostocie ducha powtórzyłeś plotkę ledwie na pół jej dając wiarę, ale na tych co ją ułożyli i roznieśli.

Mieszkasz pan w Dreźnie od niejakiego czasu, patrzysz zapewne z bliska i bliżej odemnie na społeczność naszą, — mogłeś więc *a priori* zaręczyć, że o niej pisać nie będę...

O jednych się nie godzi, kochany panie, a o drugich... doprawdy nie byłoby co pisać.

Zresztą popełnione w Dreźnie grzechy nasze i cnoty, którycheśmy się tu dopu-

ścili... nie są wcale takich rozmiarów, aby na uwiecznienie zasługiwały.

*Guarda e passa*

Danta najlepiej służy do nich. W Dreźnie ziomków naszych uczyć się byłoby za późno, chcieć poprawiać ich tutaj, nie miejsce, najlepiej nie mówić o nich.

Miarkujesz pan więc już z tego co poprzedza, że Wieczory drezdeńskie, wcale z czego innego a nie z naszych skandali-ków będą utkane...

Ale gdyś mnie zaczepił, za karę musisz posłuchać dłużej niżeli się spodziewasz... list twój i moją odpowiedź włożę do wieczorów, będzie to rodzaj otwartej karty do wszystkich... więc sobie w niej rozpisać się nieco pozwolę.

---

Spotykaliśmy nieraz po dziennikach naszych zarzuty czynione społeczności zwa-  
g\*\*

szcza majątniejszej, że się zawsze starym obyczajem kocha w próżnych włóczęgach za granicą, że trwoni pieniądź ubogi i czas najdroższy na te wędrówki bez celu, że się kocha w gospodach cudzych więcej niż we własnym domu.

W zarzutach tych jest wiele prawdy, lecz wiele też da się na odparcie ich powiedzieć

Zapewne więcej nas w domu siedzieć i pracowaćby powinno, ale smutne losy Polski, prawie całej, takie nam życie stworzyły w powszednich jego warunkach, że mało ludzi wytrwać w niem potrafi.

Potrzeba na to więcej wyrozumiałości, niż jej mamy zwykle dla siebie...

Nie godzi się wszystkim bez różnicy zarzucać tych z domu ucieczek, wiele osób jest do tego zmuszonych, wielu słabość jest wymówką, wiele jest pociągnionych

przykładem, znękanych, obolałych...

*A tout peché misericorde.* Dziś zwłaszcza miłosierdzia potrzebujemy, obcy nam go odmawiają, dajmy go choć sami sobie.

Jedzie się więc za granicę i często osiada w Dreźnie. Hałasują bardzo na to upodobanie w stolicy Saxonii, radbym je także nieco wytłumaczył, jeśli nie uniewinnił. Drezno w istocie dla nas jest prawie jedynem; ma w sobie coś polskiego, pamiętki, przypomnienia, węzeł starych stosunków... a na cmentarzu... same prawie polskie grobowce.

Ktoż tu już z nas kogoś ze swoich nie pochował!

Ciągną wspomnienia i mogiły, ciągnie spokój, którego gdzieindziej nie mamy...

Widzisz pan, że jestem nader wyrozumiały, rozumiem już urok spokoju i siłę kości zbutwiałych.

Jest w tem wszystkim jedna tylko rzecz zła, najgorsza, to że tu godności naszej narodowej między obcymi utrzymać nie umiemy.

Nikomu wyłączniej nie czynię tego zarzutu, żadnej społeczności naszej sferze — wszyscyśmy winni, wielcy i maleńcy, bogaci i ubódzy.

Nieszczęścia nasze nie uniewinniają nikogo, obowiązują bez wyjątku wszystkich. Cała to zasługa cierpienia, gdy ono podnosi i wykształca człowieka, a nie poniża go i upadla, można zeń wziąć i pokarm i truciznę.

Wyrzuceni z kraju, wygnani, uciekający powinniśmy pamiętać, że niesiemy go z sobą, że bądź co bądź w jakiejś go części przedstawujemy przed światem.

Każdy nasz usterk, błąd, wada, lekkomyślność popełnione na tym teatrze wśród

licznych widzów obcych, ciekawych, niechętnych, spada nie na nas samych, ale na naród cały...

Jeśli więc gdzie to za granicą każdy szczególną na siebie baczność zwracać powinien, jako w pewnej mierze reprezentant narodu.

Nie każdy o tem pamięta, albo raczej często wszyscy o tem zapominamy.

Drugim obowiązkiem nieszczęścia jest podzielenie go z braćmi, nie wyłączenie się z ogółu...

Przekonania polityczne, zasady, położenie towarzyskie, wychowanie, tysiące przyczyn rozdzieliły nas na więcej obozów niż jest może systemów, sposobów zapamiętywania się i programów; ale tu polityka, teorye ustąpić powinny najwyższej potrzebie zgody w niedoli...

Z obawy rewolucyi dla jednych, ze

wstępu do reakcyi u drugich rodzi się zupełny rozdział narodu, rozbratanie, wydzielenie, ... Pojmujemy bardzo różnicę zdań ale ona nie umniejsza bynajmniej, nie unieważnia — jedności obowiązków. Prawo moralne i przywiązanie do kraju, które pojmujemy bardzo różnie, ale chlubimy się nim wszyscy, wymagają od nas. abyśmy się wspólnie wspierali i nie wyrzekali jedności narodowej

Otoż społeczność nasza za granicą w ogóle grzeszy tem, że się do tego obowiązku jedności nie poczuwa, rozbija i dzieli na obozy, wypiera pod różnymi pozory sama siebie...

Skarżymy się na podział Polski, sami ją przecie na najdrobniejsze cząsteczki dzielimy i krajemy do ostatka. Każdy się odosabnia ze strachu, ze znużenia, przez nie-darowany egoizm ... Miłość gaśnie, widoczne



tylko są niechęci. Jakież o nas wyobrażenie powezmą obcy patrząc na te obawy ziomków lękających się braci? Nie rzucamyż przez to potępienia sami na siebie?..

Drezno jak bardzo wiele miast żyjących z cudzoziemców, wcale jednak gościnnem nie jest dla przybyszów, którzy mu nic nie przynoszą prócz dwojga rąk i potrzeby pracy. Dostyc kwaśno, niechętnie czasowy ledwie przytułek wyżebrać mogliśmy dla tych, co go najwięcej potrzebowali; karmiono ich szyderstwami, obelgami, wzgardą, społeczność zamożniejsza wylegitymowana, spokojna i bezpieczna, której pan komisarz kłania się z uśmiechem w ulicy jako dobry przyjaciel i znajomy — ani razu może nie poczuła się w tem solidarną z nieszczęściem, nie powiedziała sobie, że gdy wypędzają pogardliwie ubogich i bogaciby wyjechać powinni z nie-

gościnnego kąta...

Otoż co głównie zarzucić możemy naszym ziomkom w Dreźnie, że tu każdy różnemi drogami swój interes robi, nikt nie myśli o tem jak sponiewierani jesteśmy jako naród. Obawa skompromitowania politycznego przez uczucie chrześcijańskie była pretextem do tego oziębienia, ale jej fakta nie usprawiedliwiają. Żaden rząd na świecie, nawet najpodejrzliwszy nie karałby za miłosierdzie, gdyby ono było ogólnem, jawnem, odważnem i widocznie politykę uchylającym. Właśnie dla tego że nie wszyscy chcieli i chcą zajmować się biedną bracią, tych kilka osób, co dopełniają obowiązku bądź co bądź, mogą się wydać podejrzanemi i ściągnąć na siebie odpowiedzialność.

W czasie pobytu cesarza Mikołaja w Londynie, omyłką może przyniesiono mu

bilety na bal, który księżna S... na ko-  
krzyść biednej emigracyi polskiej dawała.  
Cesarz Mikołaj nie obawiał się skompro-  
mitować i zapłacił za pięćdziesiąt biletów.  
Grzecznie później zwrócono mu pieniądze,  
ale to dowód że się nikt nie kompromitu-  
je, gdy wspiera umierającego z głodu...

Bez żadnej przesady możemy zaręczyć,  
że były w Dreźnie przykłady, iż ludzie —  
nie jadaliby po dni kilka.

Gdy współcześnie piękne ekwipaże wo-  
ziły panów naszych i panie na spacerach, a  
po hotelach dawano obiady wyborne... przy-  
znajcie, że nocującym o głodzie na zroszo-  
nej wilgocią ławce w Grossgartenie, mo-  
gło się to wydać... dziwnem.

Nikt do miłosierdzia zmuszać nie ma  
prawa, a każdy swoim dobrem i groszem  
rozporządza naturalnie jak mu się podoba,  
społeczeństwo nie ma też prawa wglądać w

to, jak swojego mienia kto używa... ale są wyższe prawa moralne, które taki kontrast dostatku z nędzą czynią ohydny...

Legenda o bogaczu i łazarzu nie dziś stworzoną została, a do dziś dnia się powtarza. Przedstawienie tej legendy na sobie przed widzami obcymi, mamy głównie za złe społeczności polskiej... Przebaczym jej łacniej usterki i przekonania i przesady polityczne, — polityka upaja i rozum odbiera — nie możemy darować antychrześcijańskiej nelitości.

Nieszczęściem polityka służyła tu i służy za wymówkę...

Można nienawidzić rewolucję, mieć do niej żal największy, ale gdy komu w rewolucyi urwą nogę, strzaskają rękę, trzeba być chrześcianinem i bratem, albo się Chrystusa wyprzeć.

Najzarliwsza modlitwa i najregularniej-

sze chodzenie na rekolekcye do kościoła — nie pomogą, Pan Bóg sądzić nas będzie z uczynków, wiara bez nich martwa...

Przez te lat kilka, cożeśmy to mieli zręczności widzieć w tem Dreznie... i jak obraz naszego w nim życia byłby w istocie zajmującym, dramatycznym, gdyby go w całej prawdzie można odmalować...

Niechcemy być narodem upadającym, nie upadajmyż moralnie.

Polityka w głowie niech sobie mieszka jeśli chce, ale nie zajmuje serca...

Równie nie pojmujemy tych co się wahałi należeć do składki dla powracających do kraju... z powodów że ją urzędowa osoba zbierała, jak tych, co lękali się pomódz wypędzanym przez policję saską gwałtownie na wszystkie cztery strony świata...

Najmniej dziwim się obejściu z nami panów urzędników tutejszych: ci widząc

jak my sami uboższych boim się, uciekamy od nich, nie ujmujemy się za nich, naturalnie musieli ich mieć za jakieś wyrzutki społeczeństwa...

Nakarmiono też nieszczęśliwych wszystkim żółcią i octem, na jaką się tylko flegmatyczny Niemiec zebrać może. Aresztowano, wzywano kobiety do przedpokojów policyjnych, aby tam stały upokorzone czekając zlitowania pana komisarza, urągano się, znęcano... Ten sam grzeczny uśmiechnięty pan, tak uprzejmie kłaniający się naszym powozom, biednych jak nieboże stworzenia poniewierał...

Cośmy tu przecierpieć i przesłuchać musieli gburowatości, naigrawań należy do naszego martyrologu. Kiedyś sceny te w państwie niby nam przychylnem, którego wyżsi urzędnicy i rząd w istocie mieli dla nas pewne umiarkowane współczucie — wy-

dadzą się może nieprawdopodobnemi.

Nie jednego nieszczęśliwego, który poszedł pomodlić się do kościoła, dla tego, że nie miał karty, że śmiał się ukrywać, pochwyciła zasadzka regularnie robiona przez uśmiechniętego — u drzwi kościelnych!!

Tem imieniem Polaka poniewierano, rzucono wzgardliwie, a ci co je noszą okrywając sobolami nie ujęli się za krzywdę mu uczynioną.

Oto są grzechy żywota w Dreźnie. Mniejsza czy tam kto tańczył z młodzieżą wśród żałoby ogólnej, przebaczyć można lekkoomyślności, nigdy zakamieniałości serca.

Odpowiedzą mi na to, dawaliśmy, dawali nieustannie, wyciągano od nas jałmużny, dzieliliśmy się groszem... Przyznaję to, dawało wielu ten grosz nieszczę-



sny przymuszonych, kwaśno, niechętnie, z obawą i wstrętem, ale nie tak go daje prawdziwa litość, a my nie tyle grosza co serca po swoich żądamy.

Dawaliście grosz czasem, serca nigdy.

Po te jałmużny potrzeba było iść od drzwi do drzwi, ze sromem na czole, z bolem w sercu i znosić odmowy, wykrzywania, często prawie obelgi... A gorzki to był ten grosz biednych wyżebrany przekonaniem, że nieszczęście zamiast nas lepszymi uczynić, zrobiło gorszymi niż byliśmy...

Krwawiej też niż niedostatek bolał nas chłód i pogarda...

Widząc nas tak obojętnymi dla braci, niższa policja naturalnie mogła sobie pozwolić co chciała... Wszakże to ta hałas-tra źle odziana, blada i głodna... to byli tylko jacyś rewolucyoniści!! Uśmiechnięty



jegomość wyraził się raz bardzo szczęśliwie, w jednym z tych języków wielu, którymi tak doskonale włada — że obdar-tusy nasi szpecą mu ulice Drezna...

To też pędzono ich bez litości do Hofu, do Szwajcaryi, gdziekolwiek bądź, byle pięknej ziemi saskiej i spokoju jej nie kalali widokiem swojej niedoli.

Nie było w tem wcale złej woli z góry płynącej, ale... źle zrozumiana subalternów gorliwość, którzy sądzili że się tem przypodobać potrafią potędze, przed którą biją czołem...

Ale dość tego smutnego przedmiotu. Dodam przy tej zręczności kilka jeszcze uwag o Dreźnie i życiu jego....

Dla nas z powodu małych bardzo stosunków z mieszkańcami, wyższym światem, dworem i towarzystwem saskiem, a nawet z przybywającymi tu cudzoziemcami

życie się ogranicza kołem stosunków krajowych. W Dreźnie jesteśmy jeszcze prawie w Polsce na ziemi saskiej, przynosim tu swoje obyczaje, przywozimy barszcz i kapuśniak, pieczemy ciasta wielkanocne... obchodzimy wigilią choć z małym polskiego opłatka kawałkiem...

O! to bardzo pięknie... tak być powinno i tego dosyć wychwalić nie można. Pozwólmy cudzoziemcom śmiać się nawet z naszych obyczajów, ale zachowujmy je jako drogą spuściznę...

Więc cicho żyje! się w Dreźnie w kółku dobranem, a kólek tych jest co nie miara, bo towarzystwo się rozdziela na bardzo wiele gron, przeciwko czemu ktoż by miał co do zarzucenia? To jest wszędzie. Zamożność, obyczaj, wychowanie, wyobrażenia, huuory, stosunki łączą i rozdzielają ludzi... Żyć naturalnie woli każdy

z miłemi i z takimi co go rozumieją... aleby to nie powinno przeszkadzać znać resztę i nią się interesować.

W zimie towarzystwo zamożniejsze ma galeryą, ma teatr wyborny, koncerty bardzo dobre, szlichtady, łyżwy w Grosser gartenie jak w bułońskim lasku... wreszcie swoje wieczory, teatr towarzyski i tym podobnie. Czas schodzi bardzo mile...

A! jakby to ślizgając się po stawku przy pochodniach w ogrodzie... uśmiechając wesoło twarzyczkom zarumienionym zabawą, należało pamiętać o tych bladych twarzach, które głód i chłód wybielił...

Na wiosnę i w lecie, gdy znowu zamożniejsi rozlatują się po wodach, po kąpielach... Drezno nieco opustoszałe jest może najmiłszem; przybiera jeszcze bardziej fizyognomię wiejską... którą po trosze ma zawsze.

Ci co nie chcą lub nie mogą jechać dalej, osiadają w Blasewitz, w Loschwitz, Wachwitz, Schandau itp. Dopiero w jesieni wszyscy wędrowcy nazad powracają do stolicy... Brühlowska tarasa, Grosser Garten napęlniają się cudzoziemcami, elegantkami i łatwą do rozpoznania tak zwaną Polonią.

Na wiosnę i przed spóźnioną jesienią ciekawi zwiedzają istotnie piękne okolice i przechwaloną Szwajcaryę saską, z której tylko Bastej jest istotnie bardzo malowniczą...

Życie zresztą płynie w pięknej porze na wycieczkach do Waldschlösschen, do Linksche-Bad, do Felsenkeller, Rabenau, Paradiese itp., na spacerach po Elbie, na rozrywkach bez końca... jak gdyby życie było nadto długie a nie miano go czem wypełnić.

Niewiele osób znajduje tu sposobność pracowania, studyowania, uczenia się, chociaż Drezno mogłoby do pewnego stopnia sprzyjać nauce i studyom...

W prawdzie już się tu nazwyczajono nieco do próżniaków ciekawych, ale możeby nauczono się też służyć trochę i pracującym.

Szczególniej zbiory starożytności i sztuki, choć trochę dziś straciły przy nowszych a obfitszych muzeach, jeszczeby przydać się mogły... do obeznania z historią sztuki itp.

Ale my lubiemy się bawić, nadto lubiemy się rozrywać... Nawet poważniejsza zabawa, w której jest nieco posilnego pokarmu, odstręcza nas.

Nie słyszałem jeszcze o nikim, coby w pałacu japońskim (*usui publico patens*, mówi fronton) pracował... wielu go przebiega dla zobaczenia (?) biblioteki...

Nigdy zrozumieć nie mogłem, na co się może przydać komu widzenie biblioteki?

W ogóle też oglądanie zbiorów takie, jakie jest we zwyczaju u cudzoziemców, na nic się nie zdało i nie prowadzi do niczego; z bogactwa ono kieszeń ciceronów ale nie umysły gości.

Jak połknąć nie może człowiek tylko pewną ilość pokarmu, tak widzieć pożytecznie może też ograniczoną liczbę przedmiotów.

Dalej już trzpiotowate przebieganie oczyma najbogatszych zbiorów na nic się nie zdało, pamięć nic nie zatrzymuje wcale... wyobraźnia tworzy chaos z niedokładnie pochwyconych rysów mnóstwa...

Życie tych rodzin zamożnych, które się mieszczą w tak zwanym *quartier anglais*, cichym, spokojnym, eleganckim, odosobnionym, pełnym meblowanych aparta-

mentów. na wszelakie ceny, jest nader  
szczęśliwym wypoczynkiem, urozmaiconym  
najróżnorodniejszymi zabawami... spytajcież  
o życie wygnańca?...

Nie na różach on jest tutaj... Naprzód  
zależy od humoru, kaprysu, fantazyi i  
przywidzenia wszechmocnego komisarza,  
który jeśli zechce go wypędzić we dwa-  
dzieścia cztery godzin, ani prośba do kró-  
la, ani protekcyja ministra stanu nie po-  
moga. Jest to zagadką, której rozwiązać  
się nie silim... ale nie ulega wątpliwości,  
że minister tu mniej może od komisarza  
policyi, który z pokorą udaną odwołuje  
się do decyzji ministerjalnych, do wyro-  
ków dyrektoryum itp., ale w istocie robi  
to, co sam chce.

Od jego fantazyi, zależy czy masz od-  
dychać saskiem powietrzem lub nie... naj-  
wyższa protekcyja, jeślibyś się do niej od-



wołał, może ci wiele zepsuć, rzadkoby pomódz mogła, chyba chwilowo.

Naprzód więc potrzeba pozyskać łaskawe względy owego wszechmogącego człowieka...

Szczęśliwy, kogo uznano raz godnym posiadania tak zwanej karty mieszkańca (*Einwohnerskarte*)... inni muszą co miesiąc stawić się w biurze, bić czołem, opłacić groszy coś tam i dostają pozwolenie owo pod pieczęcią na cztery tygodnie...

Osobom wylegitymowanym (to jest mającym pasporta legalne) wolno mieszkać gdzie chcą w Saxonii, ale nieszczęśliwym zbiegom tylko w Dreźnie... Naturalnie są oni tu pod surowym nadzorem policyi, która wie doskonale sprawy, zajęcia, nawet korespondencye, jakie ów internowany odbiera...

Za kilka talarów miesięcznie stancyj-



ka... za kilka groszy obiad sosisty... za półtora grosza kawa... powietrze za dwadzieścia groszy miesięcznie (cena karty), oto koszt utrzymania.

I żyje się tak...

Są tacy, co obiadu nie jedzą, a na teatr idą... Nie dziwujmy się... znękanym ludziom potrzebniejsza czasem rozrywka nad jadło... są tacy...

A w moich oczach wiele być powinno przebaczone tym, co stracili wszystko... niech się każdy postawi w położeniu tych zwłaszcza często nie zbyt wykształconych ludzi, którzy wyrzuceni zostali po za kraj bez grosza, bez umiejętności języka... którym odebrano kraj, rodzinę, przyszłość... Dziwnoż że rozpacz obejmie, że szał ogarnie!

Ci łazarze wygnańcy nieszczęśliwsi są od Hioba, co leżał ranami okryty na gnojowisku swoim, pod niebem znanem...

słyszac choć urągający ale głos ukochany dawno i miły... Trzeba mieć litość nad nimi... bo któż z nas pewien, że sam współczucia i litości potrzebować nie będzie?

Wracą mi ta piosnka nieustannie na usta... niestety wiele widziałem nędz, a nadto obojętności na nie.

O współczuciu dla nas mieszkańców tutejszych ledwie wspomnieć można, w istocie nie mieliśmy go nigdy, ani na chwilę... obawa o to, byśmy nie spadli na Saxonią całem brzemieniem i nie ogłodzili jej, a nie skompromitowali politycznie... przeniagała nad słabem bardzo uczuciem ludzkim.

Jeden jeszcze powód przyczyniał się do obojętności; obawiano się, aby sympatya dla nas nie odstręczyła od Drezna zamoznych przybyszów z północy; zręczni ichmościowie rozpuszczali o tem pogłoski

aby mieszkańców uczynić współuczestnikami swej niegościnności. Wiedziano bardzo dobrze, że choćby stu Polaków biednych wypędzono, bogaci zostaną....

Nieśmianoby pewnie najuboższego tknąć Anglika, boby się za nim ujęła cała Anglia zamieszkała w Dreźnie i wszyscyby wyjechali... ale gdy ruszono Polaka naza-jutrz tem grzeczniej kłaniali się wszyscy policyantom. Otóż dla czego nie mamy poszanowania u obcych... dla czego dziś wyraz Polak nic nie oznacza, tu przynajmniej, prócz może — nieco lekkomyślnego człowieka.

Moglibyśmy to naprawić, ale nie potrafimy, potrzebaby więcej jedności w sprawach naszych; bądźmy federalistami, gdzie idzie o sprawy prywatne; niech każdy kieruje niemi, jak mu się podoba: ale centralizujmy się, gdy chodzi o imię Polaka,

o narodu poszanowanie...


Tu polityka i przekonania społeczne nie mają do czynienia... wszystkich obozów ludzie wspólny mamy interes...

Widzisz szanowny Panie, że dotykając nawet ogólnemi rysy naszego życia drezdeńskiego, nie tknąłem nikogo, nie zszedłem do tych nędz powszednich... któreśmy sobie wzajem przebaczać powinni... bo któż bez grzechu?

Jeśli Chrystus kamieniem na ludzi rzucać zabronił, cóż dopiero na zranionych i znękanych?..

Nie sądźmy, abyśmy nie byli sądzeni, przebaczymy, bo wszyscy potrzebujemy przebaczenia... Obcym dzikim zostawmy bałwochwalstwo siły i potęgi, my czcimy cierpienie i szanujemy boleść... a darujemy tym którzy — niewiedzą co czynią.

Październik 1865.



## LISTY DREZDEŃSKIE.



## Listy drezdeńskie.

---

Violenta nemo imperia continuit diu

Moderata durant

*Sen. Troad. 2. 217.*

Errat, si quis existimat tutum esse

ibi regem, ubi nihil ab rege tutum est.

*Sen. de clem. 1. 19.*

Exitus acta probat.

*Ovidius.*

Wśród pełnych boleści chwil zwątpienia i zamętu ludziom wiary i pracy schronić się należy w te poety rzymskiego *templa serena*, które buduje wiara i nauka. Niech one nam dadzą przytułek, złożmy u ołtarza prawdy dręczącą niepewność i gorycze powszednie. Żądasz odemnie stary przyjacielu pociechy, dać ci ją tylko mogę rozważając z tobą położenie nasze; nie jednego kraju i narodu, ale całego dzisiejszego świata, który wspólnym ludzkości

losom ulega. Będiesz-że miał odwagę spojrzeć ze mną w te mroczne głębie?.... Z bolejącego serca i udręczonego umysłu szeroko wypisać się muszę — osądzisz czy mam słusność.

Nowych ci rzeczy ani doktryn nie przynoszę, bo nic nowego pod słońcem, nawet cierpienia nasze nie są bezprzykładnemi, pod pewnym względem; powtórzę ci tylko stare, oklepane, trochę zaniedbane i zapomniane prawdy, które przy tylu fałszach będących w obiegu, nie zawadzi przypomnieć.

Wypowiem ci przekonania moje najgłębsze, choćby one przeciwieć się miały powszechnie przyjętym dzisiaj, choćby niektóre z nich mnie z boleścią, tobie z przykrością słuchać przyszło. Miej tylko cierpliwość nie sądzić mię, póki się nie wypowiem do końca, dopóki to, co zrazu wy-



da się ostrem i drażniącym, nie usprawiedliwi następne.

---

Ludzkość i narody przez ciężkie przechodzą próby.

Pracujemy na roli przyszłości, uprawiając ją krwią i łzami — plon chyba dzieci nasze zbierać będą.

W smutku, często w zwątpieniu, wlecemy pług po ziemi czarnej, wahając się, czy iść dalej?

Wielu z nas siada znużonych na zagonie, ale nieubłagana konieczność żelaznym biczem popędza — dalej a dalej.

Ludzkość nie może stać, iść musi, a czy droga jej kamieniami zasłana, czy potrząśniona różami — naprzód potrzeba!

Mniejsza o tych, co padają trupem ciała, którym nie stanie tchu i siły, gorzej z tymi, co upadną na duchu, tracąc wiarę i nadzieję.

Albowiem nie godzi się zwątpić o przyszłości; byłoby to nie wierzyć w Boga, przypuścić że nie ma prawa, i ślepy zwierzęcy fatalizm poślubić. Po za nami są dzieje przeszłe straszniejsze od naszej epoki zamętu, z których jednak ludzkość wyszła zwycięsko, są ciemniejsze ciemności, są rozpaczliwsze rozpacz, są przepaścistsze przepaście, które przecież czy trupami czy ruinami zawałyły wieki i społeczność przeszła przez nie dążąc dalej, po najstraszniejszych przesileniach — zawsze ku lepszemu.

W chwilach krwawego potu i znoju, gdy usta odwracają się od tego kielicha goryczy, potrzeba wstąpić na wyżynę i odważnie spojrzeć w głąb' na otchłanie,

aby nabrać siły i rzec sobie:

— Musimy iść dalej, mamy przed sobą przyszłość, powinniśmy tylko wiedzieć dokąd iść i jaką drogą?

To co nam wydaje się nowem, nie jest ani bezprzykładnem ani tak bezdenne czarnem, jak my olśnieni sądzimy; wyjść musimy z tych przepaści — są to ciemne wschody, po których wspinamy się ku górze światłości.

W starych baśniach naszego ludu bohaterowie dążą ku szklannemu wierzchołkowi góry, do źródła wody żywiącej i odmładzającej. Myt ten oznacza wybornie zadanie ludzkości, ciągle spinającej się ku najwyższemu dobru i światłu — które są życiem.

Ale tak w bajce jak w dziejach do źródeł życia nie ma drogi innej, tylko gościniec znoju, walki i trudu.

W tym strasznym pochodzie są ciężkie godziny zwątpienia; naówczas zapytuje siebie człowiek:

— Dla czego ludzkość pozornie się cofa i zawracać zdaje? Czemu prawda przestaje świecić i być prawdą? Dla czego między nią a fałszem nie ma widocznej granicy? Czemu wracamy tam, gdzie tylekroć byliśmy i skąd tylko cośmy wyszli?

Wszystkie te pytania dyktuje zwątpienie i omdlałość nasza; nie wiemy dokąd iść, stajemy niepewni, ale opatrność dziejowa wytknęła drogę, należy jej szukać i dalej zmierzać do celu.

Cel ten — dobra ogólnego — jest nam znany, nie wiemy tylko jak go najspieszniej osiągnąć, aby z prawego gościńca nie zboczyć na manowce.

Nie wszystkie drogi do niego wiodą; są, co od niego odwodzą.

Chwila obecna nie dla Polski tylko, ale dla całego świata jest wielką próbą ducha.

Jestli jedna niezaprzeczona zasada; nieobalona prawda, niewieńczony fałsz, nieobryzgana cnota, niespotwarzone poświęcenie?

Począwszy od Chrystusa i jego nauki, którą obrzucają błotem i usiłują uczynić małą a niewystarczającą — chociaż części nawet prawd ewangelii w czyn nie wprowadzono — aż do szatana, którego apoteozę głosi rozpaczliwe szaleństwo, wszystko z kolei obłożono i oplwano, aby ostatecznie skończyć na zupełnem zwątpieniu i chaosie. Nie ma już czegoby się słowem i czynem nie zaparto.

Kupa gruzów została z przeszłości, na przyszłość ani planu gmachu, żadnej idei jasnej, żadnego trwalszego systemu. Nawet wybujałym utopiom pościnano gło-

wy. Natomiast panuje zwątpienie, apatya, przestach i bezwładność.

Najpotężniejsze umysły z trwogą poglądają w te głębie, cofają się od nich, przerażone i czekają promienia z góry, usypiając w występny fatalizmie.

Ale duch i światłość nie zstępuje na serca trwogą zamknięte.

Na tych rozdrożach nie my tylko jedn: stoimy — nam nagim i odartym przyszło wyczekiwać na słońce, drudzy w lepszej wprawdzie odzieży, ale jak my nie wiedzą dokąd pójda, z czym i za kim? Świat cały czeka i ręce łamie.

Dla czegoż byśmy nie mieli odważnie spojrzeć na rany i szukać na nie lekarstwa.

Drobne półśrodki nie uleczą nas, fatalizm byłby dobrowolnem wyrzeczeniem się samych siebie, potrzeba mężnie zle o-

bnąć, dotknąć go i szukać na nie lekarstwa.

Zwątpienie o ludzkości — powtarzamy — byłoby ateizmem, niewiara w przyszłość krótkowidzeniem niedołężnem.

Nie pierwszy raz ukrzyżowano człowieka, ale on zawsze zmartwychwstał nieśmiertelny.

*Sursum corda...*

---

Epoka nasza to czas jakiegoś nierozporządkowanego zamętu, zewsząd nas nieład otacza mimo niesłychanych starań o materyalne uregulowanie społeczności, stąpamy po zwaliskach, wśród których chwast i zielska rozpościerają się z pychą prawych właścicieli.



We wszystkich sferach czuć niezmierną boleść, wycieńczenie długą chorobą, to konwulsję, to odrętwienie sprowadzającą. Mieniają się na scenie zbytki siły bezrządnej i bezsilności martwej, następują po sobie nieodgadnione symptomy, nielogiczne rzućcia się jak w przededniu chrześcijaństwa, zachcianki rzeczy niemożliwych, zwątpienie o prawie i przeznaczeniu ludzkim.

Żyjemy jakimś wyczekiwaniem prawdy bez jasnego jej pojęcia, negacją tego co istnieje, niedobrze wiedząc dla czego jest nam tak źle; nadziejami dziecinnymi, nieokreślonymi, niespodzianek przyszłości, trawi nas gorączka powolna; czujemy jakby przedśmiertną godzinę.

Lecz jest to tylko przedwstępna odrodzenia chwila. Guizot w swem dziele o społeczeństwie chrześcijańskim odmalował dobrze ten stan chorobliwy, lecz dając



trafną dyagnozę choroby, nie wskazał na nią lekarstwa, odbolał tylko niedolę ludzkości.

Zresztą na innych lekarzach nam nie zbywa, jedni chcą szukać zbawienia w powrocie i zacołaniu do przeszłości, która z daleka wydaje się ideałem, drudzy zaparłszy ducha, siłę liczebną całą przypisują materyalnym życia warunkom, inni radziłyby wywrócić wszystko, aby potem z nowego człowieka niemożliwe stworzyć społeczeństwo; nie brak ani teoryi, ani empirycznych recept, ale chory cierpi coraz boleśniej. Społeczność w istocie jest w chwili niebezpiecznego przesilenia i gdyby nie nadzieja, gdyby nie pewność ratunku w mocnem przeświadczeniu i wierze w wyższe cele ludzkości, w prawo postępu niezłomne, możnaby sądzić, że kresu dobiega, że ma skończyć jak niegdyś za-

czyniała, odmętem.

Dosyć spojrzeć na Europę, by dostrzedz że słabość ta napada nie tylko jednostki wycieńczone, ale umysły wybranych, że ogarnia całe narody, owłada niemal wszem światem. Odbija się to w życiu codziennem, publicznem, w teoriach społecznych i ekonomicznych, w polityce, literaturze, obyczajach.

A przyszliśmy do tego jakoś nieznamienicie i powoli. Zrazu ogarnęła była świat namiętność utopij niemożliwych, szal Tukajowski przerabiania się na młodszy, na lepszy, na inny za pomocą filtrów a choćby i nożów; chciano pokrajać ludzkość, przygotować ją w doktrynach i zlepić potem nową. Próby się nie udały, przyszło zwątpienie, zwrot pod dach rzeczywistości powszednich, które już tylko na pułap patrzą, nie w niebo, opasują się najciaśniej-

szą granicą i nie śmieją jej przestąpić, aby się na zawody nowe nie narażać.

Dla dokładniejszego odmalowania tego smutnego obrazu potrzebaby przebieść wszystkie objawy życia, a naostatek zdać sobie sprawę ze stanu politycznego Europy i zmian w pojęciach, jakim od lat kilku ulega. Potrzebaby rozważyć międzynarodowe państw stosunki, przypatrzyć się kruchości budowy tej, której upadku lękają się wszyscy, nie wiedząc co na jej miejscu postawią.

Czemże jest dzisiaj Anglia, głośno zapierająca się wszelkiego innego posłannictwa nad przekarmienie swych głodnych dzieci i zabezpieczenie swego olbrzymiego handlu, wyśmiewająca wyższe cele, zrze-

kająca się chrześcijańskiej solidarności narodów, zamykająca w trwożliwym samolubstwie, wróżącym jej zgrzybiałość i upadek? Czem Francya którą umiejętna dłoń przerabia powoli na równie praktyczną istotę zbiorową, bez innej misyi nad zabezpieczenie własnego bytu, oduczając od pragnień sięgających po za najbliższe interesa dobrobytu i pokoju? Czem są Niemcy, marzące o jedności choćby kosztem swobody, bijące się tu o prawdę, która z drugiej strony wydaje się im fałszem, inną miarą mierzące swoje potrzeby i potrzeby świata? Czem Włochy, tak cudownie przychodzące do życia marzonego przez długie wieki a w łonie swem równą ilość pierwiastków wzrostu i śmierci przechowujące? Czem Rosya usiłująca dobić się jednolitości siłą, narzędziem nie naszego wieku i szczepiąca sobie rewolucyę, z którą

tak długo walczyła?... Przemilczym o innych...

Po nad tem wszystkim wre walka zasad narodowości z prawem posiadania i przedawnienia, jaśniej mówiąc walka prawa i siły, prawa i bezprawia empirycznie chwytającego się ladajakich systemików strupieszających — grmią groźby nieustanne rewolucyj społecznych i zamachów ku odbudowaniu niemożliwej średniowiecznej, feudalnej przeszłości, trwa bój władzy duchownej ze świecką, podpierając się najdziwaczniejszymi teoryami. Słowem cały to chaos bezkształtny, z którego żaden mąż stanu ani rycerz ducha nie śmie pokusić się stworzyć nowego świata, a mali tylko spekulatorowie polityczni łowią ryby w mętnej wodzie.

Ale polityka z całą swą nielogicznością, z brakiem zasad, z poświęceniem ich dla

interesu, z całym swem zaślepieniem starej rutynistki, odkładając wyznanie prawdy na jutro, byle dziś przeżyć spokojnie, nie zamyka w sobie jeszcze pełnego obrazu nędz epoki naszej. Ona jest tylko cząstkowym objawem zewnętrznym tego, co choruje w głębi ciała społecznego, braku zasad, wiary, przekonań i bojaźliwości z nich pochodzącej.

W innych sferach czynu panuje ten sam rozstrój, nieład, niepewność; narody pojedyncze rzucają się w konwulsjach, niepewne co począć, aby przyjść do samoistnego życia; jedne szukają go na drodze gwałtownych wysileń, drugie w skrytej walce i biernym oporze. Rozpacz rodzi wybuchy, knuje spiski, rozżarza milczące nienawiści klas społecznych, stanów, narodów, rządów i rządzonych.

Obok braterskich porywów ku miłości

i zgodzie poczwarne walki przedwiekowych uraz i niechęci, roznamiętnione waśni całych ludów, w górze dyktatorski system absolutyzmu, w dole wrzący rewolucyjny kipiątek, w pośrodku obojga ofiary.

Im gwałtowniej ciśnie z góry siła, tem mocniej z dołu ku górze rwie się chaos, nikt nie chce ustąpić; tymczasem wyczerpują się lata, życie, potęga, a doktryny fałszywe, a półśrodki maluczkie przedłużają chorobę z dnia na dzień; stan pogorszają co chwila.

---

Nie zaprzeczy nikt, że jakkolwiek czarny przedstawiamy obraz epoki, nie jest on przesadzony wcale, tkwi wewnątrz społeczności choroba, pragnienie niewysłowio-

ne pali nam wargi, wijemy się w boleściach, oczekując codzień lepszego jutra — od przypadku!

Jutro przynosi nam tylko nowe cierpienia.

W innej epoce bytu instynkt poprowadziłby może narody na drogę mogącą wywieść z tego odmetu; dziś ludzkość jak człowiek pojedynczy, straciła instynkt, musi więc oprzeć się na rozumowaniu, na zasadach i sama wytknąć sobie gościniec.

Otóż czego nam właśnie brakuje: wiedzy co czynić, wiary w obmyślane środki, stałej nakreślonej drogi.

Nie mamy zasad żadnych, łatamy się z dnia na dzień wyżebraną jałmużną maluczkich środków dodniowych.

Uderzmy w główną winę, prawda chrześcijańska w zastosowaniu swem do społeczności, wyznawających ją pozornie,



jest czczem słowem; moralność pojedynczych ludzi i całych narodów, polityk ich, całkiem się z nią rozchodzi.

W życiu prywatnem przyjmujemy ją wrzekomo, zwalniając surowe przepisy jej gwoli potrzebom chwilowym; w życiu publicznem nic nas już nie prowadzi nad interes chwili, rządzymy się w niem często najdrapieżniejszym instynktem zachowawczym, zawsze tylko tem, co się znajdzie pod ręką. Z tego naturalnie wpływać musi, że i stosunek rządzących do rządzonych i międzynarodowe, któremi żadne stałe nie kieruje prawo — najstraszniejszy chaos rodzą, najzajadlejsze walki wywołują. W sprawach najdroższych człowiekowi, bo w sprawach jego ducha, siła rozporządza nie bacząc prawa, jak tylko idzie o rzecz publiczną i rządzący i rządzeni wyłamują się z pod niego. W ten sposób z obu stron

znaczenie prawa się zaciemnia, jego świętość uszczupla, kończy się na nieuznawaniu żadnego.

Pierwszą więc potrzebą jest poprzestać szukać ratunku w pólśrodkach, a starać się o odbudowanie stosunków społecznych na stałych niewzruszonych zasadach. To co jest prawdą dla pojedynczych ludzi, musi być prawdą dla społeczeństw, narodów i ludzkości.

Prawda jest jedną, inaczej nie byłaby prawdą; uznanie jej ciągnie za sobą wykonanie we wszystkim. W ciągu wieków widzimy tę prawdę ciągle jedną, odsłaniającą się nam tylko coraz wyraźniej i jaśniej. Prawda chrześcijańska jest wszakże tą samą, którą głosili Sokrates i Plato, którą przeczuwały ludy, którą czynem i krwią swą do niewzruszonego prawa podniósł Chrystus.

Odrodziła ona ludzkość, choć nie całkowicie przyjęta, choć częściowo tylko spełnioną została.

Nie potrzebujemy dowodzić, że tylko ta prawda może być lekarstwem na chorobę wieku, że wszystko złe pochodzi z zaparcia jej i lekceważenia.

Z braku miłości chrześcijańskiej w najszerszem jej zastosowaniu rodzą się wszystkie te walki, które szarpią światem; bój klas społeczeństw między sobą, władzy z rządzonymi, narodów z narodami; z zaparcia wspólności braterskiej całej ludzkości i odosobnienia interesów każdej grupy rodzi się chaos, w którym toniemy. Daje się to sprowadzić jak najściślej do tego jednego pewnika: brak nam zasad szerokich, niewzruszonych, żyjemy wyjątkami, każdy sobie, aby dalej. Z tego wszystko złe wynika. Grzechu tego początki są bar-

dzo stare, choć skutki dziś dopiero najjawniejsze. Nigdyśmy nie wierzyli silnie, a wiary naszej w czyn nie zmienili. Spodziewamy się to dobitniej okazać w listach naszych.

---

Całe dzieje ludzkości ledwieby się nie dały ująć w ramy jednej historii walki prawa i siły — ducha i materji. Rzadkie są epoki szczęśliwej zgody obojga, gdy siła staje się prawu posłuszną i idzie pod jego rozkazy. Naturą zwierzęcej potęgi jest że jak wilcy więcej dusi owiec niżeli pożreć ich może, opanowyywa ją szal jakiś choćby w końcu sama się zniszczyć miała; najczęściej posługują się nią fantazyje pojedynczych ludzi i narodów, ich duma, in-

teresa chwilowe, namiętność i mrzonki; a choć ostatecznie niezwalczona siła postępu nawet z nadużyć i gwałtów umie wydobyc korzyść jakąś dla świata, społeczność cierpi i opóźnia się na drodze swoich przeznaczeń przez wszelkiego rodzaju nadużycia zwierzęcej siły.

Nigdy wyraźniejsem to nie było jak od czasów rewolucyi francuskiej w dziejach Europy.

Z obu stron, ze strony ludów i rządów odwoływanie się do siły zwierzęcej przechyla szalę z kolei na korzyść absolutyzmu rewolucyjnego lub rewolucyj despotycznych. Dziś nawet na drodze teoryj bałamutnych przyszliśmy do bezwstydnego uznania siły, do uniewinnienia wszelkiego gwałtu, do przyklęknienia bałwochwalczego przed potęgą, nie wchodząc w jej naturę i czynności. Dla ocalenia państwa...

wszystko wolno, powiada pan Katkow, nikt nas zwycięzców nie nazwie krwią oblužganymi zbrodniarzami. Dla ocalenia narodu rewolucya łamie wszelkie prawa, odpowiadają inni... a zatem z obu stron byle zwyciężyć, w środkach się nie przebiera.

Wszystkie wszakże zajścia, które w ten sposób chcą rozstrzygać przemocą, nigdy siła nie rozwiązuje i nie rozwiąże, są one tej natury, że samo ich użycie rozognia ranę, przedłuża boleść, pogorsza chorobę nie leczy. W najszcześniejszym razie gwałt odracza do jutra kwestye, których rozwiązać nie jest wstanie, zamyka usta ale nie zabija idei. W tych walkach o prawa rządzących i rządzonych, o prawa narodowości, o swobody ludów, których zdobywanie wciąż pięściowym bojem się przedsięwzię i dokonywać ma, obie strony chwilową zyskują przewagę, ale za-

dną stałych korzyści; leje się krew na placu boju i na rusztowaniach, a padają gorzej niż ludzie, bo prawdy same, ofiarą zaciętości obustronnej; — sprawa o krok ku rozwiązaniu się nie posuwa, bo siła zwierzęca niszczy ale nie buduje, a użycie jej upaja i osłabia na duchu. Winą jest zapaśników stron obu, że środkami niewłaściwymi chcą ten twardy węzeł rozplątać — walka zabija wiele, nie rodzi nic prócz z obu stron mścicieli.

Z koła błędnego absolutyzmu, wywołującego rewolucye, i rewolucyj kończących się dyktaturami a nowym absolutyzmem, dotąd nie wyszliśmy jeszcze.

Znużone temi konwulsyami narody, zwątpiwszy nareszcie, aby cel walki osiągnąć kiedy mogły, zrzekają się czasowo nawet słusznych praw swoich, zwracają do leczenia ran, które wojna zadała, ale

zaledwie wypocząwszy, znowu temi samemi środkami idą do zdobyczy niemożliwych. Chwilami spoczynki i pozorny pokój nie są wszakże rzeczywistem uspokojeniem. Sprawa odroczone powraca tem gwałtowniej dopominając się rozwiązania, im się ono dłużej odwlekło. Przekonawszy się o bezużyteczności rewolucyj pięściowych i knowań rewoucyjnych, narody całem swem życiem dowodzą, że to o co się dobijały, osiągniętem nie zostało; ociężałość, nie-smak żywota, niepokój wewnętrzny, odrętwiałość apatyczna zdradzają nieuleczoną chorobę, która się prędzej później znowu ma odezwać.

Możnaby sądzić, że nieć Aryadny, która dotąd wiodła przez labirynty przeznaczeń, zerwaną została, że omackiem nie wiemy już dokąd iść dalej. Nie zbywa nam wszakże na zdrowych teoriach, ale te są naj-



mniej upowszechnione, a miejsce ich zastępują chorobliwe mrzonki i najfałszywsze systemaciki. Dlatego pozwolimy tu sobie kilka bardzo oklepanych, starych prawd wywlec z tej graciarni, do której je zepchnięto.

---

Historia władzy i rządów w starożytnych i nowszych społeczeństwach jest tą historią walki o której wspomnieliśmy wyżej, nieustannem równoważeniem się i przesileniami krańcowych pojęć zwycięztwami oznamionowanej. Pomijamy czasy przedchrześcijańskie, patryarchalne, teokratyczne, rzeczypospolite i dyktatury, cezaryzmy i imperyalizmy wojskowe, chociaż w tem wszystkim jest już niemal toż samo co

się dzisiaj powtarza, ze zmianami w formach wiekowi właściwych. W średnich wiekach przy kształtowaniu się społeczności chrześcijańskiej do właściwego jej organizmu, idea rządu jako instytucji boskiej ściśle związanej z bytem kościoła i od niego zależnej, wyrabiała się powoli co raz dobitniej. Ten sojusz nie był rzeczą całkiem nową, w starożytności najwyżsi władcy byli razem arcykapłanami, tron się wszędzie o ołtarz opierał, religia podtrzymywała władzę, władza broniła wiary. Chrześcijaństwo wyżej jeszcze stawiając kapłana bożego nad panującego, namaściło także króla, uczyniło go nietykalnym, poświęconym, odpowiedzialnym nie przed ludem ale przed kościołem i głową jego. Kościół stawał ponad panującymi i narody, jako trybunał najwyższy kontrolujący stosunki władzy i ludów, rozsądzający ich sprawy,

wyrzekający po czyjej stronie była prawda. Papieże rozdawali królestwa, dzierżyli w dłoni sąd najwyższy a dekreta ich były jakby głosem bożym, przeciw którym ani szemrać ani od nich apelować nie było wolno.

Był to dziecięcy wiek społeczności chrześcijańskiej, a władza kościoła strzegła w istocie, lubo ostrożnie i bojaźliwie, aby się ludziom zbytnia krzywda nie działa, rozwiązywała poddanych z przysięgi, rzucała klątwy na ludy i panujących. Lecz wkrótce, nad czem już ciężko boleje Dante, interesa posiadłości ziemskich stolicy apostolskiej z wiązały ją wspólnemi z innymi panującymi względy, stawiając ich nie po nad nimi ale na równi z nimi, w pośrodku ich, w tem samem położeniu co oni. Papieże dla zapewnienia swej niezawisłości sięgnęli po ziemską koronę, ale

w istocie osłabili przez to czysto duchowną swą władzę i narazili ją na wszystkie losy, jakim inni panujący i rządy ulegają.

Zresztą i czasy też zmieniały się powoli a z niemi pojęcia i potrzeby, kształciła się i dojrzewała ludzkość, rozpowszechniała oświata, a w miarę jak ludzie poczuli się do prawa i możliwości rządzenia samemi sobą lub uczestniczenia w zarządzaniu kraju, przestraszona o zagrożony byt swój władza, nawykła do nietykalności, do nieodpowiadania za nic, ścieśniać poczęła węzeł, usiłowała się bronić, nie chcąc nawet słusznym wymaganiom ustąpić, aby na siłę nie szwankować.

Odjęto więc stopniowo narodom i ten nawet mały udział, jaki dawniej miały w zarządzaniu kraju, zgromadzeniom, stowarzyszeniom, korporacyom wszelkim władzę jaką już posiadały, skupiono wszystko w

jednych rękach, lub jeśli dłoń ta była słabą, dzieliła z uprzywilejowanymi siłę, którą się posługiwać nie umiała. Toż samo powtarzało się w kościele, gdzie instytucje demokratyczne pierwszych wieków, prawa zgromadzeń i kapituł, soborów wreszcie, coraz obcinane, musiały ustąpić nieograniczonej władzy biskupów i papieża. Same wybory zwierzchników duchownych od ludu przeszły do zgromadzeń kapłanów, a od nich w ręce władzy świeckiej. Kościół stając się przez to zależnym i podległym, nie mógł już stawiać w obronie ludów i z trybunału najwyższego zszedł do prawie tylko cienia jakiejś władzy uszczuplonej, fikcyjnej. Zyskali przez to panujący na przyroście siły i znaczeniu. Papieżom wprawdzie zostawiono nieomylność w rzeczach wiary, znikły sobory tak jak sejmy, ale nieochybność ową stolicy apo-

stolskiej pod rozmaitemi pozory władze świeckie mogły albo uznawać lub się od niemiłych jej skutków uchylić. Dziwną anomalia, która starcie dwóch sił wywołać miała między rządzącymi a rządzonymi, było właśnie co raz większe ogniskowanie się władzy w jednych rękach; w miarę jak ludy kształciły się i dojrzewały jeśli nie do samorządu, to do jakiegoś w rządach udziału, który im sprawiedliwie należał, rządy stawały się coraz absolutniejszemi i za ślepym idąc instynktem konserwacyjnym niespokojnie stanowiska swego broniły. Tymczasem dawne pojęcie posłannictwa monarchicznego, namaszczenia władzy i odpowiedzialność jej tylko samemu Bogu, ustępowały przed świeższymi teoryami najwyższego urzędu, paktu między narodem a panującym.

Mimo utrudniających postęp zapór sta-

wionych oświacie, pomimo skąpego wymiaru nauki mającej nieść z sobą tylko zachowawcze idee, duch ludzki szedł naprzód, rozwijał się, rosł, czuł coraz mocniej krępujące go więzy, dopominał się też praw, do których uznawał się dojrzłym. Naostatek nacisk gwałtowny mający zapobiec przeczucwanemu niebezpieczeństwu, upadek moralny przedstawicieli władzy, potem niewczesne ustępstwa przyspieszyły wybuch straszliwy. Cała epoka jedna kończy się tą rewolucją francuzką, która — można powiedzieć — trwa po dziś dzień niedokończoną. Dramat odegrał się we Francyi, ale ma europejskie, ma potężne dla ludzkości znaczenie.

W ostatnich chwilach poprzedzających rewolucję francuzką, idee praw przyna-



leżnych człowiekowi i narodom były w zupełnej sprzeczności z istniejącym porządkiem, rozbierano i obnażano filozoficznie naturę i pochodzenie wszelkiej władzy, a że się igrzyska te myśli odbywały na polu teoryj i rozumowań bez żywego ich zastosowania, odrobina prawdy, jaka w nich być mogła, zamałgamowała się z ogromem mrzonek, utopij i przesadzonych pojęć o niebywałych wiekach złotych, do których chciano powrócić.

Idea postępu wcale jeszcze nie istniała; szło o zwrot ludzkości na drogi naturalne do stanu natury, który poeci i filozofowie wymarzyli sobie jako raj ziemski... Niecierpliwość rodziła szale, pragnące się usprawiedliwić źle pojętą historią człowieka i ludzkości.

Przy takim stanie umysłów chcieć utrzymać dawny rzeczy porządek, było ja-



wnem niepodobieństwem, sypane za późno groble zwiększały tylko siłę potoku. Idee i utopie nie poszedłszy w zapasy z rzeczywistością i trudnościami wykonania, coby je pohamować mogły, stawały się coraz więcej wymagającymi i poczwarniejszemi. W tem wszystkim tkwiła prawda, ale raczej przeczuwana niżeli jasno pojęta — rewolucya szła na oślep, rządy tylko siłą się jej opierały, można było przewidzieć wybuch, ale nikt nie domyślał się, nawet sprawcy jego, jak daleko on ich pociągnie.

Dawniej gdy garstka możnych, gdy kilku duchownych wyżej nad masy wykształconych, pojmowało najjaśniej potrzeby społeczeństwa, przypuszczenie ich do rady i działania było wystarczającym, reszta narodu nie domagała się nic więcej nad pieczę o swym dobrym bycie. A że warunki jego nie były nawet dlań zbyt ja-

sne, chętnie obmyślenie ich zdawano na światlejszych. Powoli jednak krąg oświaty roztaczał się coraz szerzej, filozofowie moralisci, wielka część ogółu badała, zastanawiała się, oceniała, rozumowała, studyowała naturę i pochodzenie władzy, skłonnejszą będąc do zaprzeczania jej posłannictwa, niż do przyznania prawowitości.

Odpychanie od czynu i udziału rodziło utopie i opozycję namiętną, popierały ją źle pojęte dzieje i przykłady wieków, których stosunki społeczne były całę odmienne. W obec tej krytyki zajadłej, żywej, nieustannej, objawiającej się zarówno negacją i twierdzeniem, sarkazmem i teoryami, rząd ze swym obsolutyzmem utrzymać się nie mógł. Podkopanie religijnych dogmatów i powagi kościoła oddziaływało na monarchiczny system, który się na nich opierał. Z kapłanów panujący stali się w

oczach tłumu tylko pierwszymi urzędnikami, uosobieniem porządku, stróżami prawa, nie wyrocznią, która tworzyć je była powołaną i zmieniać upoważnioną. Czynności ich, jak ogółu ludzi, podlegały uznaniu, sądowi, na ostatek moralnej za nie odpowiedzialności.

Nie bez przyczyny przypisano to rozpasanie idei zbytniemu, jak nazywano, rozszerzeniu oświaty, rosnące pragnienia usiłowano pohamować wstrzymując jej rozpowszechnienie, dając nauce ścisłe religijne podstawy, utylitarne kierunki, ale pohamowanie to rozwoju ducha ludzkiego ukazało się niemożliwem. Na tej drodze prześladowań i zakazów logicznie dojść było można aż do zakazania samej ewangelii, w której nasiona praw nowych człowieka spoczywały. W części też to spełniono ograniczając wykłady słowa bo-

żego tradycją, niedopuszczając rozumowi wnioskowania samoistnego; ale kościół posługując się ludźmi zapobiedz nie mógł, by z katedry jakiej nie powstał niespodzianie Abellard, nie ocknął się gdzie jakiś Wiklef, nie przemówił z ciszy klasztornej Savonarola, nie targnął się na jego powagę jaki Hus lub Luter. Walka z postępem, który jest niezłomnem prawem ludzkości, codziennie widomiej stawała się niepodobieństwem, rozumne tylko ustępstwa w porę duchowi wieku czynione ratować mogły, a na te zdobyć się nie umiano... Któraż władza jest tak pewną siebie, by dobrowolnie abdykować chciała choć część siły na korzyść tych, których za małoletnich uważa? Pakt między rządem a narodem wymagał odnawiania na coraz nowych zasadach, aby mógł być trwałym, a tego właśnie uczynić nie umiano, zamiast

stopniowo rozszerzać swobodę, ścieśniano ją i domaganiom bezmiernym dawano przez to szerokie pole. Gdy później nieustanne już przyszło czynić ustępstwa, ciasne, niewystarczające, pozorne, na nic się one nie zdały, idee domagały się nie podziału ale całkowitego podboju... Rozdrażnienie, wymagania rosły, aż massy naostatek odwołały się do siły zwierzęcej i sięgnęły po odbiór władzy, obalając w szale zwycięstwa razem z budową państwową podwaliny społecznej budowy.

Wspomnieliśmy już o rewolucyi francuzkiej i jej charakterze, o zgubnych jej skutkach, które obok osiągniętych prawd po dziś dzień jeszcze czuć się dają. Rozmowanie i doświadczenie przekonywa dziś jasno jak to, co naówczas za prawo przyszle ludzkości poczytywano, fałszywie było pojętemi. Częsteczka prawdy tonęła w cha-

osie utopij krańcowych. Nie wahało się kosztem krwi, ofiar, wywrotu społecznego próbować urzeczywistnienia mrzonek niemożliwych owego stanu natury, równości i t. p. Jeśli z rewolucyjnego tygla wyszły naostatek prawdy wielkie i zbawienne, ona temu z pewnością nie była winną. Stało się to tak jak z alchemikami, którzy szukając złota i kamienia filozoficznego, trafiali na lekarstwa i amalgamy użyteczne.

Najgłówniejszą winą rewolucyi, mijając niejasność jej założeń, było uznanie siły zwierzęcej, uświęcenie jej, i potwierdzenie użycia przemocy, wszelkich gwałtów dokonywanych przed nią, i po niej wykonywać się mających. W naturze tych środków było, że kłam zadawały nawet onym wielkim prawdom, które w życie wprowadzić chciały. Prawda nie potrzebuje posługiwać się teroryzmem i krwią, bo sama

przez się jest niezłomnie zwyciężką.

Gwałt zadany społeczeństwu pod pozorem zreformowania go, uniósł z sobą najnietykalniejsze zasady żywotne jego bytu, wolność sumienia, bezpieczeństwo osób i własności, ideę rodziny, świętość jej węzłów, wszystko aż do tego braterstwa, które zapisane wielkimi głoskami na chorągwi, istotnie tylko istniało pod gilotyną.

Rewolucya ostrzyła i przygotowywała broń dla przyszłych despotyzmów wszelkiego rodzaju, ustalała ten zgubny axiomat dziś jeszcze na gruzach jej podejmowany, że w obronie państwa, dla idei i mrzonek politycznych wszystko jest dozwolone, że teroryzm jest środkiem koniecznym i prawowitym, że wolno zawiesić wszelkie prawo i wszystkie prawdy pogwałcić dla ladajakiej utopii lub wymarzonego systemu. Cała rewolucya jest apo-



logią tego teroryzmu, apoteozą siły zwierzęcej mas, a gdyby nawet owoce, jakie z niej zebrała ludzkość były dla niej najkorzystniejsze z innych względów, przykład jaki dała, drogi które otworzyła, jeszczeby ją potępiały. Widzimy zresztą dziś najlepiej, że z zasadami rewolucyi, z jej środkami despotyzm jak najłatwiej przejednywa się i godzi, że w imie demokracji i równości najbezwzględniejszej wybornie robi swe interesa, a dogadza mu wielce iż bronią rewolucyi i jej urokiem posługiwać się może.

Łacno dostrzedz, że wśród tego zamętu anarchicznego i ludy i rządy zbiły się całkiem z drogi właściwej społeczeństwu chrześcijańskiemu, negując wszelkie prawdy, które chrześcijaństwo postawiło jako zasadnicze i nienaruszalne. Rewolucya też zaparła tradycyę chrześcijańską i powróciła



do stanu, w którym zwierzęca siła rozstrzygała wszystko, nadużycia fanatyzmu religijnego służyły jej za oręż przeciwko samej wierze w chwili, gdy ona sama naśladowała to, co chciała obalić. Potępiano tak inkwizycję świętą, bardzo słusznie, ale czemże trybunały rewolucyjne różniły się od sądów inkwizycyi, czem gilotyny od stosów, teroryzm mnichów od teroryzmu sankiulotów ślepo idących za oszalałymi doktrynerami?

Spytajcie więc, jakimi drogami ludzkość miała się dobijać praw sobie należnych, których jej uparcie odmawiano? Jedną i jedyną tylko drogą pracy powolnej i mężnego wyznawania prawdy; tą właśnie, którą w pierwotnych wiekach szło do zwycięstwa chrześcijaństwo. Charakterem tej pierwszej epoki najświetniejszej, w której nauka nowa dokonała najtrudniej-

szego zadania obalając starą społeczność, był nie orężny bój ale ofiara, nie krew nieprzyjaciół ale poświęcona własna, nie spisek tajny ale jawne głoszenie przekonań, nie przemoc ale pokora, cierpliwość wiary głębokiej pewnej swojego zwycięstwa, a przede wszystkim: praca nad udoskonaleniem jednostek, z których się składa społeczność. Oddawano cesarowi poganinowi dań mu należną, grosz czynszowy, ale nie oddawano przekonań, dla których męczennicy szli na stos i rusztowanie, nie porywano się do oręża, bo oręż był narzędziem pogańskim, głoszono prawdę i cierpiano dla niej.

Cale odrębnym był charakter rewolucji namiętnej XVIII wieku, która dla następnych stała się normą, przykładem, doktryną i wyrodziła fałszywą teorię opierającą się na sile pięści tak dobrze jak

wszelki inny despotyzm.

W sprawie najświętszej przyobleczono zbroje i wzięto oręż nieprzyjaciela zbluzgany krwią, ohydzony zbrodnią; szał zapomnieć kazał, że w szatach braterską krwią zbroczonych nie idzie się do ołtarza. Wszystko przecie co zarzucano despotyzmowi jednego, przemocy klas uprzywilejowanych, przywłaszczano tłumom; nie zmieniło się postępowanie, odmieniły tylko role, władza przeszła w inne ręce ze wszystkimi nadużyciami swojemi, trybun w imię mas szukający okrutniejszym był często od ukoronowanego despoty.

Naruszenie prawdy w sferze polityki odbiło się w samem życiu społecznem, w jego stosunkach; jad wszedł w krew naszą, przeżarł więzy, które spajały rodzinę i społeczność, strawił rdzą najdroższe skarby nasze.

Ostatni akt krwawego dramatu rewolucyi najwymowniej świadczy o jej fałszywej drodze. Znużona, nie dokonawszy popsutego dzieła, zamknęła się fatalnie dyktaturą i despotyzmem jednego, tem właśnie, przeciwko czemu w zasadzie walczyła. Pomimo tego koniecznego skutku drogi błędnej ludzie nie zostali uleczonymi ze ślepoty, system rewolucyjny, rewolucyjne zasady wszczepione w pokolenia, wyssane z mlekiem, pozostały w łonie społeczeństwa jak następstwa dziedzicznej choroby.

Idea prawa i granic, których w żadnym razie człowiek ani społeczność przestąpić nie powinna, zatartą została... Rządy, *pour cause d'utilité publique*, wywłaszczają swych poddanych nawet z praw przyrodzonych; rewolucye też lekceważą wszystko i nie przebierają w środkach idąc

do celu. A nim owe ideały samorządów, jednolitych państw zlepionych moździerzową siłą, republik, monarchij konstytucyjnych itp. osiągnięte zostaną — najjaśniejszym zyskiem roboty jest, że dziś nie ma nic świętego, nie ma rodziny, człowieka, swobody sumienia i przekonań, równie zagrożonych przez despotyzm i rewolucye, że społeczność gnieje i rozpada się, że wszystko wolno jest silnym, bo żadne prawo nie istnieje.

W mniemanym interesie niezdrowej polityki rewolucya idzie drogami fałszu i spisku, rządy dopuszczają się tak samo poczwarnych okrucieństw nad tysiącami, uspokajając się że to czynią dla tem większego szczęścia przyszłych pokoleń — ofiary liczą się na krocie, krew się leje, a co najsmutniej, sama idea prawa i jego świętości przez tych, co się jego obrońca-

mi mienia, zostaje obaloną. Tej szkody żadna budowa państwowa dla ludzkości nie wynagrodzi.

Dodajmy też, iż wszystko to jest bezskuteczne, bo siła i przemoc dopóki idzie o burzenie i niszczenie, są wybornem narzędziem, ale nigdy nie ręką za to, co budować i wznosić pragną; nie mają one w sobie organizacyjnej potęgi i z czynów ich wyrasta najczęściej wprost przeciwny zamiarom skutek.

---

Wśród społecznego zamętu i gorączkowego rzucania się zapomnieliśmy w końcu, można powiedzieć, że są przecież zasady niezłomne, nienaruszalne, wiekuiste, wspólne nawet chrześcijaństwu z poganami,

których nigdy i nikomu, ani rządowi, ani ludziom zapierać się nie godzi, czynami lekceważenia ich dowodząc. Gorzej nad to, polityka dziś tak dalece usprawiedliwia wszystko, że dla niej wyrobiła się nawet oddzielna, wyjątkowa moralność w zupełnem będąca przeciwieństwie z tą, którą jako przewodniczkę w życiu powszedniem przyjmujemy.

Prawdy zasadnicze tej moralności, od której odstępstwo tylko w wiekach i krajach barbarzyńskich wytłumaczone być może, są spuścizną ludzkości odwieczną i najczystsza, strata ich jest największą ze strat, gdyż sprowadza z drogi postępu. Nawet starożytne wieki wiele z tych prawd przeczuwały, a umysły potężniejsze głosiły je wprzód, nim Chrystus jako prawo w czyn je wprowadził. Boski Plato w swej Rzeczypospolitej dochodzi naprzykład do uzna-



nia, że sprawiedliwy nawet nieprzyjacielowi swojemu krzywdy czynić nie powinien; my dziś z lekkomyślnością niepojętą wyrządzamy ją przyjaciołom, byleśmy ich na zawadzie w politycznej naszej robocie spotkali. Gdy idzie o państwo, rządy nie wahają się posługiwać takimi środkami, które posady wszelkiego społeczeństwa podkopują. Nie jestli nakazywaną denuncyacyą w rodzinie, karane przemilczenie pomiędzy najbliższymi sobie, przyjmowane zeznania dzieci przeciw rodzicom?... Gdzie się podziewa miłość chrześcijaństwa w obejściu z obwinionymi o przestępstwa polityczne, którzy przecież z prawidła ogólnego, ludzkości służącego, wyjęci być nie mogą?

Tak samo rewolucye nie przebiegają w środkach, ale ktoż im dał i daje pierwszy przykład nieposzanowania prawa, za-



wieszania i łamania go?

Wielkie prawdy społeczne, bez których ludzkość byłaby zbiorowiskiem barbarzyńskim, nigdy bezkarnie negowanemi być nie mogą; są to owe latarnie morskie świecące u brzegów skalistych, które gdy zagasną a burza zèrwie się na morzu — wszystko co po niem żegluję ginie. Gasiemy je broniąc się wrzkomo od nieprzyjacielskiej napaści, ale i naszym własnym statkom potem ich braknie.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek przypominać należy, że prawdy te po nad wszelkiemi wypadki górować powinny i wszystkim im panować. Jeżeli one nie będą miarą najwyższą wszelkich czynności ludzkich, jeżeli od ogólnych prawideł moralności wiekuistej będzie się godziło ustąpić dla jakichś doraźnych potrzeb gwałtownych i niby wyższych celów, jeżeli po-

lityka ma rozgrzeszać nawet ze zbrodni (obie zarówno strony), nie wiem już gdzie się zatrzymamy i dokąd tą drogą zajdziemy?

Prawo nie cierpi żadnych wyjątków; jeżeli jest prawem, musi być niezłomnem; jeśli zawieszonem być może, tedy prawem być przestaje. Nikt nad nie i w żadnym razie wyższym nie jest. Takie tylko pojęcie jego zbawić nas może.

Jeden z ojców kościoła (św. Augustyn) powiedział, że gdyby kłamstwem można świat zbawić, nie godziłoby się kłamać; powiemy za nim że gdyby zbrodnią można naród lub świat oswobodzić, nie godziłoby się jej popełnić. Najwznioślejszy pozornie cel nie usprawiedliwia użycia moralności przeciwnych środków. Rousseau w chwili zdrowego natchnienia wyrzekł, że zdobycie największych swobód nie warte

jest może jednej przelanej kropli krwi ludzkiej; coż dopiero gdy nie o tę kroplę idzie, ale o czystość zasad, o świętość prawd, które się chwilowej namiętności poświęca, lub o interes osobisty, któremu się rozmyślnie daje na ofiarę prawo? Czy można wywalczyć swobodę spodleniem, lub ludzi zjednoczyć gwałtem?

---

Polityka dzisiejsza tak ludów jak rządów nie przyjmuje już praw moralności bezwyjątkowych — a co za tem idzie neguje wszelkie prawo, nie uznając go bezwzględnie; pewnik ten że dla zbawienia kraju (naturalnie pojętego w najrozmaitszy sposób) wszystko wolno nie od dziś wszakże zyskał prawo obywatelstwa.

Pewien rodzaj wyższości i potęgi nawykliśmy przyznawać mężom, którzy w teorii i praktyce połamali wszelkie idee zasadnicze dla dopięcia tego, co się zowie wyższym celem; znamionuje to dla nas prawie geniusz gdy się kto ze wzdargą dla prawd, bojaźliwsze umysły krępujących, oświadcza. Jednym z pierwszych, którzy tej przewrotnej zasadzie nadali powagę, był Machiavelli w swoim *Il principe*. Od jego czasów po dziś dzień nic się nie zmieniło, śmielsi tylko może jesteśmy jeszcze w użyciu środków niegodziwych, gdy cel widzi się nam godziwym a potrzebnym. Zbytecznem byłoby przypominać, że Machiavelli był sługą despotyzmu i żądzy panowania; zgubna więc ta zasada nie zrodziła się w łonie miłujących swobodę i szanujących godność człowieka, wydały ją potrzeby dynastyczne i ambicya, rewolucye

przyjęły od chciwych władzy zdobywców. Na obu krańcach: despotyzmu i rewolucyi spiskowi i dyplomaci uznają się wyższymi nad wszelkie prawo i moralność; dość od obojga przecierpiała ludzkość, aby naostatek w imie odwiecznej prawdy zaprotestowała. Tylko w poszanowaniu niezłomnem prawa znajdziemy na dzisiejsze cierpienia lekarstwo, a jeśli to, co ma przedstawiać uosobienie porządku, przykładu dać nie zechce, słusznem jest, by ludzie pojedynczy i narody miłujące istotną swobodę dla niepokalanej czci jej wyrzekli się zdobywania środkami, które moralność ogólna odrzuca.

Idea swobody, należnej człowiekowi i narodom, płynie wprost z chrześcijańskiej zasady; nie znał jej świat pogański i znać nie mógł; u niego swoboda jednej klasy okupywała się zawsze niewolą drugich.

Chrystus zrównał wszystkich ludzi zowiąc ich bez różnicy dziećmi bożemi, uczynił ich odpowiedzialnymi za czyny przed Bogiem samym, zatem uczynił wolnymi, bo kto nie jest wolnym, może być odpowiedzialnym? Zamiast niewoli przyszło poświęcenie dobrowolne... ofiara jednych dla drugich.

Cała moralność ewangeliczna opiera się na swobodzie i na miłości, która swobodę obwarowuje i ogranicza a poświęcenie rodzi — bez tych dwojga nie ma chrześcijaństwa. Chrystus nie zerwał żadnego z tych węzłów, które wszelką łączą społeczność, siłę tylko zastąpił miłością i w obliczu prawa wszystkich uczynił równymi.

Pękają więzy niewoli, ale prawo miłości braterskiej staje, aby ograniczyć swobodę, wskazując że swoboda brata powinna być kresem naszej, że one obie

godzić się z sobą, muszą i dla siebie poświęcać. W ten sposób mamy najprościej sformułowane prawo swobód nie tylko ludzi ale narodów, bo wielkie prawdy noszą na sobie cechę tę najogólniejszego zastosowania. Tam gdzie swoboda moja staje na przeszkodzie swobodzie bliźniego, oba zarówno ustąpić coś z niej musimy: harmonia swobód daje ich miarę.

Gdyby świat składał się z ludzi wybranych, dosyćby było tych wyrazów na wypisanie im całego kodexu prawa. Na nieszczęście większość jest słabą, często ciemną, a miłość własna zaślepia, życie więc dopiero uczy nas tysiąca stosunków i miary, w jakiej wzajemne sobie czynić powinniśmy ustępstwa. Całość tych form stanowi prawo społecznego bytu. W stosunku człowieka do człowieka, do narodu, narodów do siebie, rozpromienienie tej

prawdy rozrastającej się jak ziarno gorczyczne, daje nam wszystkie prawa z jednej prawdy płynące.

Najwyższem prawem jest miłość bliźniego, lecz miłość rozumna; ta nas uczy, iż rzeczy szkodliwych ludziom natury ich nieświadomym wzbraniać i chronić od nich musimy.

Ztąd płynie, że chociaż wszyscy równi jesteśmy w obliczu Boga i prawa, nie wszyscy przed zupełnem poznaniem prawdy sami sobą rządzić możemy. Światło w nas będące, dojrzałość nasza jest miarą swobody, której używać mamy prawo. Nie wszyscy więc o jednaki swobody udział domagać się możemy; wartością człowieka, usposobieniem do jej użycia a nie nadużywania, mierzy się prawo jakie on ma do niej. Dziecięciu przez miłość dłoń nie daje się noża, ani nieumiejącemu obejść się z



nią, niebezpiecznej trucizny, która w rękach lekarza może być zbawczym lekarstwem, a w ręku nieuka narzędziem zbrodni.

Zakres więc swobód należnych człowiekowi i narodom, oznacza ich wykształcenie moralne. Dla ludzi doskonałych nie potrzebaby praw żadnych, możnaby im dać swobodę nieograniczoną, boby jej nie nadużywali. Dajmyż ją ludziom zepsutym, a natychmiast obróć ją na złe.

Naród niedorosły jak dziecko trucizną zabić można swobodą przedwczesną, ale też dojrzały wstrzymując w więzach, które do pieluch porównać się dają, paraliżujemy go na wieki. Życie potrzebuje rozwijać się wedle własnej siły swej wewnętrznej, czuwać nad nim potrzeba, kierować nim nie podobna nie krzywiąc. Właściwym też posłannictwem władzy jest dozór i czuwanie, kształcenie narodów, pro-

wadzenie ich do postępu, a w końcu pełnoletnich dopuszczenie do pełnej woli. Nie zawsze się tak jednak dzieje, władza przerasta w wiekuiste nauczycielstwo nad dorosłymi, a gdy geniusz wychowawca prześciga pedagoga staje się niezdolną i szkodliwą. Rosną ztąd walki i spory, w których z obu stron godziwe i niegodziwe używają się środki, lecz właśnie dobór ich daje doskonałą miarę dojrzałości zarówno ludów jak rządów. Porównanie jakiegośmy użyli, dobrze wyjaśnia stosunek obojga do siebie. Z natury swej narody są niecierpliwe i często za rychło domagają się emancypacyi, rządy zaś zbyt zachowawcze nie ze swych praw ustępować nie chcą. Konflikt jest prawie koniecznością, lecz zamiast zmierzać i kończyć się porywem do pięści, nie powinienże, by rozstrzygać się walką powolną, w którejby z obu stron

prawdy wyższe nad interesa chwilowe poszanowane były?

Na pobojożyku tem nie tylko trupy ludzi, ale zabite idee, zasady i prawdy oplakiwać należy.

Z tego, cośmy powyżej z bardzo starych a oklepanych pewników powtórzyli, okazuje się, że nie ma absolutnie doskonałej, jedynej formy rządu na wszystkie wieki i kraje, ani jednej recepty na uszczęśliwienie wszystkich narodów; każdy z nich jest wynikiem potrzeb miejscowych i czasowych, a koniec końcem można do pewnego stopnia przyznać, że narody mają to, na co zasługują. Najulemniejsza forma rządu jeszcze jest koniecznym skutkiem jakichś wypadków, a gdy poszanowanie prawa i dobra wiara dają jej namaszczenie, może ona spełnić swe posłannictwo do danej chwili być dobrą tam, gdzie jest i właściwą. Ale *ne quid nimis*, pierwszym warunkiem trwania nie jest nieruchomość i zastanie,

owszem zastosowywanie się do potrzeb, ich wyprzedzenie. Rząd przedewszystkiem winien być stróżem prawa i nie przecząc sam sobie wyłamywać się z pod niego nie może. Stan społeczności oznacza sam formę rządu jemu właściwą, dozę swobody do jakiej użycia dorosnął. Są wieki i kraje, w których absolutna władza jednego była koniecznością, są niebezpieczeństwa, wśród których rzeczypospolite stanowią i poddają się dyktatorom, były epoki, w których nawet niewola była pracownią przyszłości — ale przedewszystkiem rząd jak człowiek dla siebie istnieć nie może. Przypuścić można wszelką formę, ale przejętą tym duchem istnienia dla ludzi nie sobie; tam gdzie miłość własna i interes własny dźwigają i kierują rządem, gdzie się on sądzi sam przez się niezależnym i nieodpowiedzialnym, ma już zaród upadku w sobie. Gdy bezmyślny konserwatyzm i teoria, którąby nazwać można *de l'art pour l'art*, wstrzymują wszelki postęp i bronią ustępstw, gdzie naostatek przychodzi zła wiara i nie-

moralne środki użyte są dla utrzymania się przy bycie, tam wywrót nieuchronny. Przychodzi on w bardzo różny sposób, ale następuje zawsze, bo rząd traci poszanowanie i siłę.

Są naprzykład środki zachowawcze na pozór liberalne, pozornie sprawiedliwe, a w istocie dążące tylko do zaspokojenia interesów chwilowych, do utrwalenia *status quo*, którą moralność odrzuca jako komedję polityczną, zdającą się szanować ducha, a w rzeczy przyznającą tylko — siłę zwierzęcą.

Dajemy z wielu jeden przykład tylko. Rewolucye wszystkie odwoływały i odwołują się do nieoświeconych mas w imie równości ludzi, chociaż równość ta co do praw politycznych nigdy istnieć nie może. Ale potrzebowano mass, więc pochlebiano massom — coż?... Oto wzorem tych demagogicznych teoryj obrachowały także despotyzmy, że tych samych mass niewykształconych w imie tej samej zasady — nieszkodliwej dla absolutyzmu — użyć po-

trafią z łatwością na korzyść swoją. Uli-  
towano się więc nagle nad ogółem, wzięto  
go w szczególną opiekę i nadano mu prawa  
polityczne, do których nie dorosłszy, nie  
rozumiejąc ich, nie czując potrzeby, tłum  
prowadzić się daje łatwo wpływem rządu  
idzie za nim posłuszny. Despotyzm od nieja-  
kiego czasu z wielką dla siebie korzyścią stał  
się obrońcą ludu, przyjacielem równości,  
wrogiem przywileju i zajadłym demokratą.

Dopóki szlachta się nie sprzeniewierzyła  
tronom i zasadzie monarchicznej, brzydzo-  
no się demagogią, dziś gdy i panowie her-  
bowni i inteligencya nadto chcą swobód,  
lud ukochano, który się bez nich obejść  
potrafi i używać nie myśli.

Zawsze to lepsze niż odmawianie swo-  
body, bo nadanie jej powoli kształci ludy,  
ale tu nie szło wcale o kształcenie mas,  
ani o swobodę żadną, chodziło o interesa  
despotyzmu.

Gdy idzie o najprostszą czynność ad-  
ministracyjną, o urząd w gminie, wybie-  
rają zdolnych do spełnienia go i takich,

którzy uzdolnienia swego dali jakieś dowody — a do najważniejszych czynności politycznych, do wyrokowania o formie rządu i dynastyi mającej mu przewodniczyć, powołano nagle ogół — zasadą głosowania powszechnego! Oparto się na ten raz na zasadzie demokratycznej *vox populi vox Dei*, poszanowując instynkt narodu upojonego nadaniem mu prawem, a często i czem innem jeszcze... Ta równość pozor-na w głosowaniu, wydająca się zdala czemś nader liberalnem i uroczem, w istocie jest krzyczącą niesprawiedliwością, negacją inteligencyi a odwołaniem do siły materialnej. Jestże słusznem, aby głos męża stanu, człowieka który życie strawił na badaniu potrzeb kraju, na sumiennej dlań pracy, równoważył się z głosami żadnego znaczenia mieć nie mogącymi, ludzi, którzy nie wiedzą co czynią, posłusznych rządowi, łatwo intymidacją, pochlebstwem lub fałszywem rozumowaniem dających się uwieść.

Środek ten zachowawczy, podniesiony



do wysokości zasady, jest niemoralnym i nacechowanym złą wiarą, może on posługiwać w danej chwili interesowi; ale czyni ujmę tym, którzy go używają. Niepodobna bowiem przypuścić aby ci, co głosowanie powszechne za narzędzie biorą, nie czuli i nie widzieli, że siłę zwierzęcej dają przez to wziąć górę nad światłem i intelligencją; jednym słowem, by nie wiedzieli że głosząc zasadę, prawią fałsz.

Bezwzględnie biorąc nie ma wątpliwości, że wszyscy głosować mają prawo, ale prawo to musi być obwarowane pewną kwalifikacją, choćby najprostszą, umiejętnością czytania i pisania, inaczej oznacza tylko rewolucyjne powołanie mass, na których ciemnotę się rachuje.

Z małymi wyjątkami nie ma dziś w Europie kraju, nie ma narodu, w którymby głosowanie powszechne sumiennie zastosowaniem być mogło. We Francyi znaczniejsza część ludności czytać ani pisać nie umie, głosuje za tym, przy kim jest siła, nie wiele się troszcząc o to co czyni, a



szczerłość wotów uzyskanych z pomocą żandarmów, merów i prefektów nikogo nie ludzi. Każdy też rząd despotyczny z ochotą przystanie na głosowanie powszechne, zawsze mogąc być pewien, że ono na jego korzyść wypadnie. Ale kogoż się tu oszukuje? Pragnie się tylko opierając na sile, nadać jej jakąś sankcyę, jakąś prawowitość pozorną. Niestety! historia jest nieubłagana.....

Jak z głosowaniem tak i z innemi swobodami człowieka; wrota do nich otwarte być powinny dla wszystkich bez wyjątku, ale wniść może przez nie tylko ten, kto złożył dowody wykształcenia.

Wszyscy mamy równe prawa, ale nie wszyscyśmy do wszystkiego zdolni, a nie dla społeczeństwa żgubniejszem być nie może nad to, gdy każdy w niem sądzi się zdolnym do wszystkiego i porywa do rzeczy, których nie rozumie. Zachcianki te drogo się zwykło opłacać.

Wprawdzie przypuszczenie nawet wcześniejsze nieco do swobód politycznych kształ-

ci ludzi i wyrabia — czego dowody mamy w Ameryce, i lepszym jest ostatecznie, niżeli powstrzymywanie życia zbyt surowymi ograniczonego szrankami, ale społeczność uspokojona tem, że jej prawa są uznawane, spieszyć się z używaniem ich dla płóchego tylko zadowolenia miłości własnej nie powinna. Nie potrzeba dowodzić, że polityka i nauki społeczne są nauką, że instynkt zapewne często ją zastąpić może, ale bezpieczniej jest, gdy nań rachować nie potrzeba. Nikt dziś za żadnym przywilejem stanu przemawiać nie może, gdyż w społeczeństwie nowem kasty i podziały nie istnieją, wszyscy mają prawo do wszystkiego, ale to prawo usprawiedliwić powinni wykształceniem.

---

Wyboczyliśmy nieco od przedmiotu głównego, następcza się bowiem tyle zadań namiętnie i fałszywie pojmwanych, iż przypomnienie bardzo zwyczajnych prawd zdaje się nam koniecznem, wracamy jeszcze do

głównej kwestyi zamętu dzisiejszego i chorobliwego stanu społeczeństw napróżno szukających sobie lekarstwa. Rodzi go bezsprzecznie ta chwiejność zasad, i nieposzanowanie praw i prawa, o których już mówiliśmy. Wielkie prawdy ewangeliczne stoją wprawdzie nieporuszone i pozornie szanowane, ale w chwili istotnego czy mniemanego niebezpieczeństwa, każdy się od ich spełnienia uwalnia i z pod ich rygoru wyjętym być sądzi; xięga praw nieustannie się zmienia, a w istocie idea prawa słabnie; narody w interesie swobód, rządy w sprawie konserwacyi własnej zawieszają prawo i uciekają się do bezbrzeżnej samowoli, obie strony nie wiele na tem zyskują, ale ludzkość ogromnie na tem traci.

Henryk IV odezwał się tak niegdyś, że Paryż wart był mszy, inni po nim za każdą pilniejszą potrzebą polityczną ośmielali się do czegoś nieprawniejszego, przyszlismy do tego, że dla jedności politycznej widzimy publicznie zadawane gwałty su-

mieniu człowieka, grabienie własności, prześladowanie języka, wiary obyczaju; łamane traktaty i zobowiązania międzynarodowe, prawo narodów i prawa człowieka. Młodzi publicyści czynią sobie chlubę z tego, że gardzą tem, co wieki i cała ludzkość szanowała.

Ilekroć despotyzm widzi się w niebezpieczeństwie, nie waha się uciekać do podobnych środków, w których nie czyni żadnego wyboru; coż potem dziwnego, gdy uciśnione narodowości, którym wydarto wszystko i zaprzeczono istnienia, które skrepowano nieznosnemi więzami, powiadają sobie zapożyczając logiki od swych ciemniwców, że i im też w sprawie oswobodzenia, która jest zadaniem bytu — wszystko wolno. Przykład dano im z góry.

Ten rodowód rewolucyjnych teoryj od despotyzmu nie jest wcale dowolnym wymysłem, jest niezbitym i jasnym faktem. Ojcem rewolucyi jest bezbrzeżna samowola despotyzmów; matką szaleństw socyalnych zgniła polityka bezprawioów.

Szukano źródła anarchicznych doktryn nurtujących świat, w jakimś chorobliwym rozpasaniu umysłu ludzkiego, lecz z czegoż ono powstało? Z ucisku zbytecznego i samowoli, z nieposzanowania praw, z gwałtu zadanego ludzkości. Na gnojowisku nadużyć wyrasta naturalnie ten grzyb anarchii; rząd chwytający się środków niemoralnych choćby chwilowo zwyciężył, traci szacunek, ściera z siebie cechę swojego posłannictwa.

Te doktryny fałszywe, nad których powstawaniem bolejemy, są chorobami koniecznymi, płynącymi z zaniedbanej, powstrzymywanej oświaty, ze wsteczności w wychowaniu. Gdzie ucisk myśli przywodzi do szaleń, a represja myśli zmusza ją do milczącego nurtowania w podziemiach, rodzą się teorie szalone, gorączkowe tak nieochybnie, jak z trucizny rodzi się śmierć.

Skutki te zawsze jednym, tym a nie innym przyczynom przypisać potrzeba.

Naostatek knowania i wybuchy rewo-

lucyjne wszystkie są dziełem pokrzywdzania swobód; nie są to twory fantazyi i przypadku, źródła ich zawsze szukać potrzeba w jakimś pogwałceniu człowieka, w jakimś nadewszystko moralnym ucisku i niesprawiedliwości.

Sam brak swobody dla myśli wyradza choroby, którym tylko zupełna jawność i wolny rozrost niebezpieczny wpływ odjąć może. Palono dosyć xiąg na stosach, często razem z autorami ich. Cenzura kościelna zabraniała czytania, niszczyła je tysiącami, i coż to pomogło?... Ogień tych stosów rozlał się daleko, myśl niepowstrzymana szła dalej odziana nowym męczeństwa urokiem, silniejsza, spotęgowana chłostą, święta bo ukrzyżowana, i wzniesiono jej piedestał, sądząc że przygotowują rusztowanie.

Jeśli w tej walce szalona myśl rwała się często za daleko, coż winna?... Pchano ją i pędzono smagając i cisnąc. Na choroby myśli nie ma innego lekarstwa nad swobodę zupełną roztrząsań i pozosta-



wienie kuracyi własnym siłom natury. Jak dyament poleruje się tylko pyłem dyamentu, tak myśl myśla tylko zwyciężoną być może, nigdy siłą pięści, która zamyka usta, ale nie powstrzymuje idei. Ucisk rodzi chwilową ciszę śmierci, ale z mogił na pobojuwisku wstają duchy i walka Hunnów z Rzymianymi owymi przenosi się w powietrze.

Zarodem wszelkiego złego, powtarzamy to jeszcze, powtórzym nieraz, są nadużycia siły zwierzęcej i odwoływanie się do niej bezustanne, jak gdyby ona cośkolwiek trwale rozwiązać mogła. Namnożyło się axiomatów fałszywych, przeciw którym dziś nawet protestować nie wolno; do nich należy owe godło *Salus populi lex suprema*, które posługuje z kolei stronom walczącym i uświęcać ma wszelkie nadużycia. Ta idea czegoś nad prawo wyższego, nadwiera znaczenie i powagę prawa samego, coż gdy niebacznosc rządów targa się nie

na kodexa pisane, ale na zasadnicze i wielkie prawdy, które wiążą i trzymają społeczność. Same one w ten sposób upoważniają narody do użycia w walce wszelkiego godziwego i niegodziwego oręża. Widzimy to najlepiej w historyi mnogich rewolucyj społecznych, które tam są najgwałtowniejsze, najrózpasańsze, gdzie nieposzanowanie prawa ze strony przeciwniej najbezwzględniejszem było. Tą wysoko postawioną ideą prawa, czczonego aż do bałwochwaltwa, broni się Anglia od wszelkiego wybuchu, który przy największym rozpasaniu namiętności politycznych jest niemożliwym; tam gdzie *coups d'état* następują jedne po drugich, gdzie siła wojskowa powoływana jest nieustannie do rozwiązywania rosnących trudności bagnetami, rewolucyjne wybuchy są najstraszliwsze i nie szanują nic, bo ich tej gwałtowności nauczono, przykład jej dając z góry.

Przez ciężkie przechodząc doświadczeń koleje, szczególnie w ostatnich stu latach, ludzkość się wreszcie przekonywać zaczyna



o bezużyteczności walki orężnej i spiskowań, zdaje się ona wchodzić na tor nowy, na drogę udoskonalenia wewnętrznego i pracy powolnej, która sprawie swobód i narodów da pewniejsze zwycięstwo. Rzuci ona to koło błędne, które z despotyzmu wiodło do rewolucyj krwawych, do anarchicznych szalów, do koniecznej dyktatury i tak dalej bez końca. Wreszcie dostojność prawdy nie dozwoli jej dłużej posługiwać się fałszem, kryć z sobą, spiskować pokątnie, wystąpi ona z odkrytą twarzą i piersią, ze spokojem głębokiego przekonania, pewna swej siły i zwycięstwa, gardząc siłą materyalną, którą ostatecznie zwyciężyć musi. Tę erę nowej pracy społecznej wszystko się zdaje zwiastować, znużenie walczących, bezużyteczność walki, uznanie prawdy, przekonanie o niebezpieczeństwie bezprawia i gwałtu, który nic nie tworząc, burzy co mamy najdroższego.

Użycie siły w sprawie ducha pozostawić potrzeba tym, którzy do pocucia potęgi jego nie dorośli, jakkolwiek publicz-

nie odzywają się głosy uświęcające ją i odwołujące się do niej, panowanie jejwidocznie zbliża się do końca; narody pierwsze zrzekną się walki pięściowej, spisków tajemnych, dróg fałszu milczących i skrytych, a prawda wyznawana jawnie przez wszystkich zwycięży.

Jeden z przyjaciół Adama Mickiewicza opowiadał następującą z lat jego życia ostatnią przygodę, która maluje najlepiej czystą jego duszę. Między nim a przyjacielem \*\*\* zaczęła się raz wieczorem rozmowa, w której marzenia i przypuszczenia, ten pokarm powszedni wygnańców, obficie zasilają biesiadę. Zaczęli mówić oba o bogactwie i użyciu go; przyjaciel w końcu zapytał Adama: coby on począł, gdyby nagle stał się bardzo bogatym? Ja, rzekł Adam, wykupiłbym wszystkie a wszystkie egzemplarze Konrada Wallenroda i do jednego bym je spalił...

Czuł to lepiej na! innych Adam, jak

idea Wallenrodowska zastosowana do życia i sprawy narodowej wiele nam uczyniła złego.

Cudnym poematem jest Wallenrod, ale zgubną ideą jest Wallenrodyzm, apoteoza fałszu i zemsty, przyznanie się do słabości i upadku.

Mógłże się spodziewać poeta, że znękany i zesłabły naród zastosuje do żywota swego tę pieśń boleści i grozy, że z niej wyciągnie całą teorię fałszu i zdrady.

Poetycznie wielki Wallenrod jest postacią chorobliwą, symbolem rozpacz, która nie zwycięstwa szuka ale chwilowej pomsty i nasycenia namiętności dzikiej.

W wielkich zapasach ludzkości dobijającej się swych przeznaczeń Wallenrody są trupami, nad którymi płakać potrzeba, ale się ich naśladować nie godzi. Potrzeba było tak zrozpaczonego jak nasze położenie, aby pokolenie całe dopatrzyło w Wallenrodzie wzoru i zapragnęło pójść w jego ślady.

Od chwili, gdy Wallenrod ukazał się

raz pierwszy na świat w Petersburgu, aż po dzień dzisiejszy, żyliśmy niestety nieustannemi Wallenrodyzmami, a ile powagi, blasku odjęliśmy przez nie sprawie narodowej, kłamiąc, milcząc, spiskując gdy należało w obronie jej występować. otwarcie i wytrwale, ileśmy ludzi stracili, co kryjąc się pod płaszczem Wallenrodów zeszedli na prawdziwych Krzyżaków, ilą krwi i łez opłaciliśmy ten poemat... wyliczyć niepodobna. Czuł to sam nieśmiertelny poeta który tak miłował prawdę i tak w ciągu całego żywota służyć jej umiał.

Epoka Wallenrodów szczęściem zdaje się dokończoną. Zamknęła się ona męczeństwa i nie powinna powracać. Straciliśmy wiele nie śmiejąc wyznać prawdy, a spiskując dla niej wyrządziliśmy ujmę charakterowi narodowemu, zachwialiśmy samo znaczenie tej prawdy, ukrywając się z nią.

1861 — 1865.



## Przypisek w ostatni dzień roku 1865.

---

Oto masz kochany przyjacielu, gorączkowo i bezładnie na jedną rzucone kupy te prawdy główne, któremi nie my tylko sami przejąć byśmy się powinni; na brak ich, lekceważenie, zaprzeczenie ich sceptyczne choruje dziś cała ta społeczność europejska, która się zowie przewodniczą cywilizacyi i postępu.

Doszliśmy, niestety! do tego w roku 1865, że świat zbawienia swego, panaceum na wszystkie bole i trudności szuka w materyalnym dobrobycie, w zaspokojeniu potrzeb zwierzęcych... w zaparciu szlachetniejszych celów ludzkości... Wolno jest wszystko dla ocalenia pokoju i chleba — nawet godność swą i posłannictwo poświęcić.

Znużeni rewolucjami nie wiodącemi do niczego a posługującemi tylko interesem despotyzmu, ludzie pragną wypocząć choćby związani i skrepowani... Garstka utopistów zapatrzwszy się na to, że rządy w sprawie zachowawczej, nie przebie-

rały nigdy w środkach, stawia za zasadę, że i rewolucyi, choćby najczystsze cele mającej — wolno jest iść drogami jakimi zechce... to jest krzywym gościńcem do prostego celu.

W ogóle moralne poczucie ogółu wystygło — sceptycyzm dziwny zastępuje one wszędzie... śmiejemy się ze wszystkiego — czysty jest kto zwyciężył — winien kto upada.

Dla upadłego — *væ victis* pogańskie, z nim wolno wszystko jak z niewolnikiem, to już nie człowiek; tylko współczucie dla słabych i zwyciężonych jest zbrodnią.

Odwróćmy oczy od tego ohydneho obrazu męczeństw i znęcań się których, nawet dzika namiętność nie tłumaczy, które są torturą zadawaną przez wystygłe, głupie, bezbożne doktryny niedouczonej barbarzyńców lub zgrzybiałych nędzników politycznych.

Ratunku potrzeba... nie ma go gdzie indziej, jak we zwrocie do pewnych zasad i prawa... do moralności ogólnej, której nikt naruszyć i łamać nie powinien, choćby mu się marzyło, iż ten gwałt jego świat zbawi, naród wyzwoli...

Czyńmy cośmy powinni — niech się stanie co zechce...

My cośmy ucierpieli najwięcej z obu



stron i od rewolucyi, która wypotrzebowała na swe szale najświętsze uczucie miłości ojczyzny, i od despotyzmu, który zachowawczym się czyniąc nękał nas uciskiem bezprzykładnym, nie ludzkim; my pierwsi stańmy murem przy prawach człowieka i narodu.

Będziemy cierpieć, cierpmy z godnością, z powagą, nie zapierajmy się prawdy, dając jej świadectwo wszelakie, choćby krwią pisane... odepchnijmy fałsze, spiski, rachuby przemądre Machiawelów bezwzględnych i Talejrandów łysych, idźmy drogą prostą, jawną, mężnie i uczciwie. Niech żaden z nas w obec tortury nie ułęknie się powiedzieć kim jest, czego broni i dotrwa do końca nie złomnie. Dajmy świadectwo prawdzie.

Ojczyzny nie zbawimy inaczej jak odbudowując ją po jednym człowieku, każdy zaczynając od siebie... Umoralizowanie jednostek jest najpierwszą, największą potrzebą i obowiązkiem chwili... Umiejmy cierpieć i wytrwać...

Przykładów nam nie zabraknie.

Tylko cnotą olbrzymią dzieła olbrzymiego dokonać potrafimy... Niczem będzie wszystko, czem nam grozi i co wykonywa mściwa zemsta jednych, przemądrza-

ła rachuba innych, jeśli ściśle spełniamy wszyscy obowiązki nasze. Nic nas nie dotknie, gdy się nad ziemię i świat podniesiemy potęgą prawości, czystości — cnoty...

Niestety — powtarzam jedno, brak wyrazów nowych, na powracającą ciągle myśl tąż samą, którą zdaje mi się żem zawsze jeszcze za słabo i nie jasno wypowiedział.

Zrozumie mnie kto zechce...

To com tu napisał wyda się wielu rzeczą oklepaną, ogólnikiem nic nie znaczącym może... cnota, obowiązek, prawo, prawda oddawna służą na tak rozliczne użytki wszystkim iż monet tych piętna się starły... Ale łatwo człowiekowi dobrej wiary z łupin tych prawdziwą myśl wydobyc...

Wróćmy do zasad odwiecznych, stałych, w rzeczach publicznych starając się być tak prawymi i czystymi, jakieśmy być powinni w życiu prywatnem. Niech jedna moralność, jedna miara służy obojgu; niech słabość i obawa nie zamykają nam ni ust, ni serc, ni dłoni... głośmy prawdę czynem.

Zwyciężmy despotyzm cnotą i rewolucyą cnotą naszą; niech ani groźba jednego ani drugiej nie wymoże na nas odstępstw od prawdy, choćby pierwszy zastraszał nas śmiercią, a druga łudziła do wy-



stępku ratunkiem ojczyzny... Tym sposobem staniemy się niezwyciężeni, spełnimy myśl i wiekuiste posłannictwo narodowe Polski.

Bądźmy pewni, że interes chwilowy narodowości naszej wymagający poświęcenia zasad i przekonań, jest tylko źle zrozumianym interesem, w gruncie szkodliwą dla sprawy naszej rzeczą, jeśli nieuczciwą.

Idąc tą drogą może przedłużymy pozornie pracę odrodzenia, może się ona często wydać nam zgubną po ludzku, ale po bosku będzie zbawienną. Machiawelstwa nas nie uratują bo czyści tylko sprawie czystej służyć możemy, a kalając siebie w sobie kalamy i zabijamy tę ojczyznę, której ocalenia pragniemy. Święćmy jej wszystko oprócz sumienia i uczciwości.

Przestańmy wierzyć w siłę i w pięść.

Niech się do nich uciekają ci, co innych środków dla osiągnięcia nieprawego, świętokradzkiego celu nie mają. Duch cierpliwym jest, ale zwycięża w końcu, bo jest siłą bożą, nadludzką, nieprzełamaną, nim walczy — przemożemy i miliony spiknięte na nas i sofizmata i uciski i męczarnie i obojętność świata.

Ale niech z nas każdy pomni, że w sobie cząstkę tego ducha wspólnego oj-

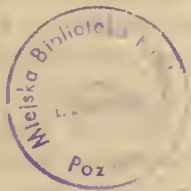
czyzny piastuje, że aby się on wzmógł  
cały, pojedynczo podnosić go w sobie mu-  
simy...

Otoż życzenia na rok nowy, nie wiem  
już który rok męczeństwa i boleści...

Prawda a praca, zapisał jeden z dzia-  
dów naszych na szczycie domu, na herbu  
szczyte, na xiędze swej i sercu swem,  
niech to godło świeci nam w dalszym  
pochodzie...

Prawda i praca zwyciężą!

Drezno 31 grudnia 1865 roku.



- rościny Olbromskiej. 8o. Wilno 1843 (cena  
sklepowa 2 złr. 50 kr.) 1 złr.
- Danielecki Ignacy. Poezye. 12mo. Bydgoszcz 1855.  
(Cena sklepowa 1 złr.) 50 kr.
- Dłużniewski Marcei, Wyjawienia sposobu leczenia  
cholery bez wzywiania lekarza, oraz sposobu  
uchronienia się przed nią. 12mo. Lipsk 1857  
40 kr.
- Dycalp, John of. Chaos. Szczypta kadzidla ceniom  
wierszokletów. 8o. Wilno 1842 (cena sklepo-  
wa 2 złr. 75 kr.) 1 złr.
- Dycalp, John of. Ostatni upior w Bielhradzie. Do-  
słowny wyciąg z kroniki czeskiej wieku XVI  
8o Wilno 1842 (cena sklepowa 1 złr.) 50 kr.
- Dycalp, John of. Pamiętnik Elfa. 2 tomy 8o. Wil-  
no 1843 (cena sklepowa 4 złr. 50 kr.)  
1 złr. 50 kr.
- Grabowski Ambrozy. Skarbniczka naszej archeolo-  
gii, obejmująca średnio wiekowe pomniki wo-  
jennego budownictwa Polaków, wiadomości do  
dziejów sztuk pięknych w Polsce, oraz wspo-  
mienia z naszej przyszłości i t. p. Wydanie  
I. N. Bobrowicza. 8o m. Lipsk 1854 (cena  
sklepowa 6 złr. 25 kr.) 2 złr. 25 kr.
- Grabowski Michał i Przeddziecki Alexander. Źródła  
do dziejów polskich. 2 tomy. 8o Wilno 1843  
(cena sklepowa 8 złr.) 3 złr.
- Gregorowicz Jan Kanty. Gawędy xiedza pro-  
boszcza pod Lipami. Serya I i IIga. War-  
szawa 1862. 60 kr.
- Groza S. W. Powieści podolsko - ukraińskie, wzię-  
te z rzeczywistych obrazów. 2 tomy. 8o Wil-  
no 1842. (Cena sklepowa 2 złr. 25 kr.) 2 złr.
- Groza Alex. Karol. Rusałka na rok 1842. Wilno  
1842. 60 kr.
- Humboldta Alexandra podróże, przekład z niemiec-

- kiego Michała Bohusza Szyski. Oddział I podróże po Afryce i Ameryce 2 tomy. Oddział II podróże po Rosyi europejskiej i azjatyckiej 2 tomy, razem 4 tomy 80 Wilno 1861 (cena sklepowa 17 złr.) 12złr.
- Jezierski Michał. Julia i Marya. 2 tomy (cena sklepowa 2 złr. 75 kr.) 1 złr. 25 kr.
- Juszyński M. Hieronym X. Dykcyonarz poetów polskich. 2 tomy 80 Kraków 1820. 3 złr.
- Korzeniowski Józef. Arcydzieła dramatyczne, Tom I. Faust, tragedia Göthego. Tom II Król Jan Szekspira i Sofoklesa Edyp król 2 tomy. 80 Wilno 1845 (cena sklepowa 6 złr.) 3 złr.
- Korzeniowski Józef. Panna mężatka, komedia w 5 aktach 80 Wilno 1845 (cena sklepowa 1złr 25 kr.) 75 kr.
- Korzeniowski Józef. Umarli i żywi, albo wszystkiego po trochu, dramat w 5 aktach. 80 Wilno 1842 (cena sklepowa 1 złr. 50 kr.) 1 złr.
- Kraszewski J. I. Anafielas. Pieśni z podań Litwy. Pieśń pierwsza Witolorauda, — pieśń druga Mindowe — pieśń trzecia i ostatnia. Witoldowe boje. Z rycinami na 16 tali 80 m. Wilno 1845. 8 złr.
- Korzeniowski Józef Andrzej Batory, dramat historyczny w 5 aktach. 80 Wilno 1846 (cena sklepowa 2 złr.) 1 złr.
- Kraszewski J. J. Improwizacye dla moich przyjaciół, książeczka do zapalania fajek. 180 Wilno 1844. 60 kr.
-

Biblioteka Raczyńskich

JIK 580



JIK0580